

NIESAMOWITE LUBUSKIE

Notatki
z podróży



Mariusz Górkowiak
Aleksandra Górkowiak

Niesamowite Lubuskie

Notatki z podróży

Mariusz Sobkowiak
Aleksandra Sobkowiak

Spis treści

1. O nocowaniu w lesie i Ameryce nad Wartą. Postomskie młyny	6
2. O tajnej fabryce Hitlera i zwycięstwie natury. Ruiny fabryki w Krzystkowicach.....	16
3. O tajemniczych tunelach, architektonicznej perełce i ludzkiej naturze. Fara w Żarach.....	27
4. O odpoczynku w chmurach. Zielonogórski Sky Park.....	39
5. O zagadce w głębi lasu. „Tańczące sosny” w okolicach wsi Bełcze.....	47
6. O tych, którzy zniknęli i o tym, co pozostało. Gorzowski Kirkut.....	53
7. O kosmicznym zegarze. Sulechowski zegar azymutalny.....	63
8. O mrocznym miejscu, które dziś służy jasnej stronie mocy. Amfiteatr w Ośnie Lubuskim.....	72
9. O mieście widmo. Opuszczone miasteczko westernowe w Kosinie.....	79
10. O owadzych lekarzach. Pszczelarnia w Zaborze.....	87

Wprowadzenie

Trzymacie w dłoniach niezwykle przewodnik, choć może lepszym określeniem byłoby książka podróżnicza lub zbiór reportaży. Mniejsza o nazewnictwo. Jest to w istocie zapis podróży, jakie odbyliśmy z moją żoną, Aleksandrą, pomiędzy sierpniem a październikiem 2023 roku. Podróży do dziesięciu fascynujących miejsc regionu lubuskiego. Dlaczego nazywam tę książkę „niezwykłym” przewodnikiem? Niecodzienny jest już sam proces jej powstawania. O tym, gdzie pojedziemy, decydowali sami mieszkańcy województwa. Każdy Lubuszanin mógł przez cały czerwiec tego roku zgłosić nam miejsce, do którego mamy pojechać, aby opisać je w przewodniku. Zależało nam w szczególności na miejscach dotychczas niepromowanych, być może znanych jedynie mieszkańcom. O przyjmowaniu zgłoszeń informowaliśmy w lokalnych mediach, na portalach społecznościowych i poprzez wiadomości mailowe wysłane do wszystkich urzędów gmin w całym regionie. Otrzymaliśmy dwadzieścia dwa zgłoszenia, spośród których wybraliśmy dziesięć najciekawszych. Kierowaliśmy się różnorodnością miejsc (znaczących ze względu na historię, malowniczych krajobrazowo, umożliwiających wypoczynek rodzicom z dziećmi, czy promujących regionalne produkty), aby każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Wybieraliśmy takie lokacje, które dotychczas nie zostały jeszcze turystycznie wypromowane, ze względu na brak funduszy, niedostrzeżenie ich potencjału, czy też fakt, iż dopiero powstały (jak zielonogórski Sky Park, który nie miał jeszcze szansy zaistnieć w lokalnych przewodnikach turystycznych). Wybór ten był oczywiście czysto subiektywny i czytelnicy mogą się z nami spierać w kwestii zasadności takiego, a nie innego wyboru. Jesteśmy otwarci na krytykę, ale też przekonani o słuszności swoich decyzji. Po odwiedzeniu tych miejsc na własnej skórze przekonaliśmy się bowiem, że są to miejsca magiczne z niewykorzystanym jeszcze potencjałem turystycznym. Po dokonaniu naszego wyboru udaliśmy się do każdego z tych miejsc. Tutaj po raz kolejny zarysowuje się niezwykłość procesu tworzenia naszej książki. Jej współtwórcami są bowiem sami mieszkańcy. Ich rola nie kończyła się na dokonaniu zgłoszenia. Gdy dokonaliśmy wyboru ich lokacji, umówiliśmy się z nimi na nasz przyjazd. To oni pełnili rolę naszych przewodników, oprowadzając nas po tych miejscach, które zgłosili jako niezwykle i warte opisania. Poznacie ich na kartach tej książki, gdyż również oni są jej bohaterami. Prezentujemy pokrótce ich sylwetki, bo podróże wiążą się nie tylko z poznawaniem ciekawych miejsc, ale również wspaniałych ludzi. Ukazujemy te miejsca, uwzględniając również ich perspektywę, czyli punkt widzenia mieszkańców.

Kolejnym założeniem, które przyjęliśmy podczas tworzenia tej publikacji, było podejście do podróżowania uwzględniające możliwości osób niezmotoryzowanych. Powodów takiego podejścia jest kilka. Po pierwsze, sami jesteśmy osobami niezmotoryzowanymi i jest to nasz świadomy wybór. Dla wielu osób tego rodzaju podejście do życia zdaje się być ograniczające. Nie wyobrażają sobie możliwości życia, pracowania, a tym bardziej podróżowania bez własnego środka transportu. Osobiście znamy osoby, które we własnym mieście nie są w stanie się przemieszczać bez samochodu. I to jest prawdziwe ograniczenie. Pokazujemy więc, że nie jest to problemem. Opisując sam proces podróżowania, dajemy też punkt widzenia i wskazówki osobom niezmotoryzowanym. Nie bez znaczenia jest tutaj także aspekt ekologiczny i zdrowotny. Auta spalinowe, choć przez lata były symbolem mobilności i postępu, niestety również niosą ze sobą poważne konsekwencje dla środowiska naturalnego. Wytwarzanie i spalanie paliw kopalnych w silnikach spalinowych przyczynia się do emisji szkodliwych gazów, takich jak dwutlenek węgla, tlenki azotu i cząstki stałe. Te substancje mają negatywny wpływ na jakość powietrza, a także przyczyniają się do wzrostu efektu cieplarnianego i zmian klimatycznych. Emisje z samochodów spalinowych są głównym źródłem zanieczyszczeń powietrza w wielu miastach, prowadząc

do smogu, problemów zdrowotnych ludzi i uszkodzenia ekosystemów. Podróżowanie autami spalinowymi ma nie tylko negatywny wpływ na środowisko, ale także wiąże się z poważnymi konsekwencjami dla zdrowia ludzi. Emisje z pojazdów spalinowych zawierają szkodliwe substancje chemiczne, które mogą mieć negatywny wpływ na jakość powietrza i zdrowie publiczne. Podróżujący samochodem oddychają dwa razy bardziej zanieczyszczonym powietrzem niż ludzie, którzy pokonują tę samą trasę, korzystając z komunikacji publicznej lub własnych nóg. Dwutlenek azotu, cząstki stałe oraz inne zanieczyszczenia emitowane przez silniki spalinowe mogą powodować problemy oddechowe, zwłaszcza u osób cierpiących na astmę, alergie lub inne choroby układu oddechowego. Długotrwała ekspozycja na te zanieczyszczenia może prowadzić do przewlekłych chorób płuc, zaostrzać istniejące schorzenia oraz zwiększać ryzyko zachorowania na choroby układu krążenia. W niniejszym przewodniku korzystaliśmy więc i promujemy podróżowanie komunikacją publiczną lub zeroemisyjną (np. rowery). Komunikacja publiczna stanowi jedno z najbardziej ekologicznych rozwiązań w dziedzinie transportu. Systemy transportu publicznego, takie jak autobusy, tramwaje, metro i pociągi, mają potencjał znacząco ograniczyć negatywny wpływ pojazdów spalinowych na środowisko naturalne. Przede wszystkim, komunikacja publiczna może zredukować liczbę samochodów na drogach, co prowadzi do mniejszej emisji gazów cieplarnianych i zanieczyszczeń powietrza. Wspólne podróżowanie pasażerów oznacza wykorzystanie mniejszej ilości energii na jednego pasażera w porównaniu do pojazdów osobowych. Promowanie komunikacji zbiorowej służy zresztą wszystkim uczestnikom ruchu. Wykorzystanie komunikacji publicznej może zmniejszyć korki i zatłoczenie ulic, przyczyniając się do lepszej płynności ruchu i oszczędności czasu podróży. To ważne nie tylko z ekologicznego punktu widzenia, ale także dla jakości życia mieszkańców. Oczywiście nasz przewodnik jest dla wszystkich. Osoby zmotoryzowane po prostu wsiądą do auta i pojedą w opisywane miejsca. Osoby niezmotoryzowane zaś mogą potrzebować wskazówek dotyczących podróżowania. Jako iż niewiele przewodników uwzględni ich perspektywę nasza książka jest niezwykła również pod tym względem. Zdaję sobie sprawę z tego, że gdy czytać będziecie te słowa wiele połączeń może już nie istnieć lub godziny kursowania mogą się zmienić. Bardziej jednak, niż te szczegóły zależało nam na tym, aby pokazać, że podróżowanie w ten sposób jest jak najbardziej możliwe i że może też być przyjemne.

Ostatecznie niezwykła jest sama treść książki. O ile większość przewodników stawia na ilość, oferując nam wyliczankę tego, co warto zobaczyć, my postawiliśmy na jakość i dogłębne opisanie miejsc, które wybraliśmy. Książka ta ma bowiem zachęcić czytelników, aby odwiedzili wskazane miejsca. Czy da się to zrobić zwykłym podaniem dat i historycznych albo przyrodniczych faktów bez wciągających historii?

Podróżując z żoną miałem niezwykłą przyjemność dzielenia się swoją pasją z osobą, którą kocham. Podczas naszych wyjazdów ja biegałem wokół z notatnikiem (jak możecie zobaczyć na zdjęciach), notując wszystko, co zobaczyłem i usłyszałem od naszych przewodników. Moja żona Aleksandra, natomiast krążyła w pobliżu, starając się uchwycić niezwykłość odwiedzanych miejsc na fotografiach. Włożyła w to dużo serca, aby niniejsza książka była również pięknie ilustrowana. W żarskiej farze kładła się na zimnej i spękanej posadzce, by wykonać jak najlepsze fotografie krypt grobowych, a w nowogrodzkich lasach brnęła poprzez pajęczyny i zarośla, na przekór swojej alergii, by ukazać tajemniczą aurę ukrytej między drzewami wojennej fabryki amunicji. Tych chwil nikt nam nie odbierze i mam nadzieję, że sposób, w jaki to opisałem pozwoli wam również poczuć magię tych podróży.

Za możliwość stworzenia tej książki dziękujemy władzom województwa lubuskiego. Jej wydanie i przeprowadzenie całego projektu „Niesamowite Lubuskie” było możliwe dzięki dofinansowaniu ze środków województwa lubuskiego.

O nocowaniu w lesie i Ameryce nad Wartą

Postomskie młyny

Nocowaliście kiedyś w środku lasu? Nie, nie chodzi mi o pola kempingowe z sanitariatami, oświetleniem i grupką ludzi, którzy służą pomocą w razie kłopotów. Chodzi o dziki las, gdzie po zmroku nie znajdziecie żadnego źródła światła i wokół jest ciemno choć oko wykol; gdzie możecie zapomnieć o elektryczności, bieżącej wodzie, ogrzewaniu i zasięgu telefonii komórkowej; gdzie zamiast do toalety chodzi się za potrzebą w zarośla, a najbliższe zabudowania i pomoc znajdują się w zasięgu co najmniej kilku kilometrów. Gdy zaś kulicie się w namiocie w środku nocy, słysząc nie głosy innych obozowiczów, ale że jakieś zwierzę postanowiło wyjść na żer. Jeśli po przeczytaniu tych słów czujecie potrzebę pakowania plecaka na wyprawę, to ten rozdział jest właśnie dla was.

Decyzją nr 12 Dyrektora Generalnego Lasów Państwowych z dnia 15 lutego 2021 r. wprowadzono program pod nazwą „Zanocuj w lesie”. Akcja ma zachęcać do tego, na co wprost wskazuje nazwa – do noclegów w lasach. Lasy Państwowe chcą w ten sposób wyjść naprzeciw wszystkim miłośnikom aktywnego spędzania czasu, którym nie obcy jest surwiwal (sztuka przetrwania w skrajnie trudnych warunkach) i bushcraft (z ang. bush — krzaki, busz; craft — sztuka, rzemiosło, czyli umiejętności związane z przetrwaniem i życiem w dziczy przy użyciu jej naturalnych zasobów), na co wprost wskazano w decyzji. Udostępnienie jednak lasów do „dzikich” noclegów nie odbyło się z dnia na dzień. Aby upewnić się, że to dobry pomysł i nikt w trakcie nie zginie, a knieje nie będą świecić łunami pożarów przeprowadzono roczny pilotaż w okresie od października 2019 r. do września 2020 r. Zadowoleni z wyników leśnicy wprowadzili program na stałe, a nadleśnictwa w całej Polsce wyznaczyły miejsca, w których legalnie można spędzić noc, oczywiście, przestrzegając zasad programu. Jedno z takich miejsc zgłosiły do naszego przewodnika seniorki i seniorzy z Klubu Senior+ w Krzeszycach, pod wodzą Ewy Sawickiej. Wprawdzie nie wspominały o tym, abyśmy spędzili tam noc, ale gorąco zachwalały walory krajobrazowe. Myśl, aby nocować w lesie pod Krzeszycami zrodziła się spontanicznie i długo nie trzeba było namawiać do tego mojej żony. No dobra, żartowałem. Ola była przerażona i postawiła szereg warunków, zanim w ogóle przemyśli kwestię przetrwania nocy w dziczy. Warunki te spełniłem, żonę namówiłem, ale jak się okazało, żadne z nas nie wiedziało, czego tak naprawdę się spodziewać.

12 września. Autobusem przyjeżdżamy do Krzeszyc i na przystanku odbiera nas członkini klubu Senior+. W miejscowym sklepie kupujemy na zapas wszystko, co może się przydać, głównie prowiant (bardzo przemyślany, w większości słodczy) i butelki wody. Za godzinę wywożą nas do lasu i aż do następnego ranka będziemy dysponować tylko tym, co w plecakach. Wpadamy szybko do siedziby klubu w Krzeszycach i w kilka samochodów zabieramy członkinie (i jednego pana) na miejsce naszego noclegu – Postomskie Młyny – III Młyn. Od centrum Krzeszyc to zaledwie dwa kilometry, półgodzinny miły spacer prostą drogą, ulicą Sulęcińską, a następnie Leśną. Rankiem następnego dnia odbędziemy ten spacer, ale teraz jedziemy autem jako pasażerowie, gdyż na miejsce zabiera nas praktycznie cały krzeszycki klub seniora. Patrzymy na wszystkie panie w sile wieku (i jednego pana) i jesteśmy wdzięczni oraz pełni podziwu. Na zewnątrz z nieba leje się żar, wiemy, jaki to trud dla tych wszystkich ludzi, ale nie odpuścili i uparli się, że nas tam zabiorą. Po drodze, skręcając w Leśną mijamy

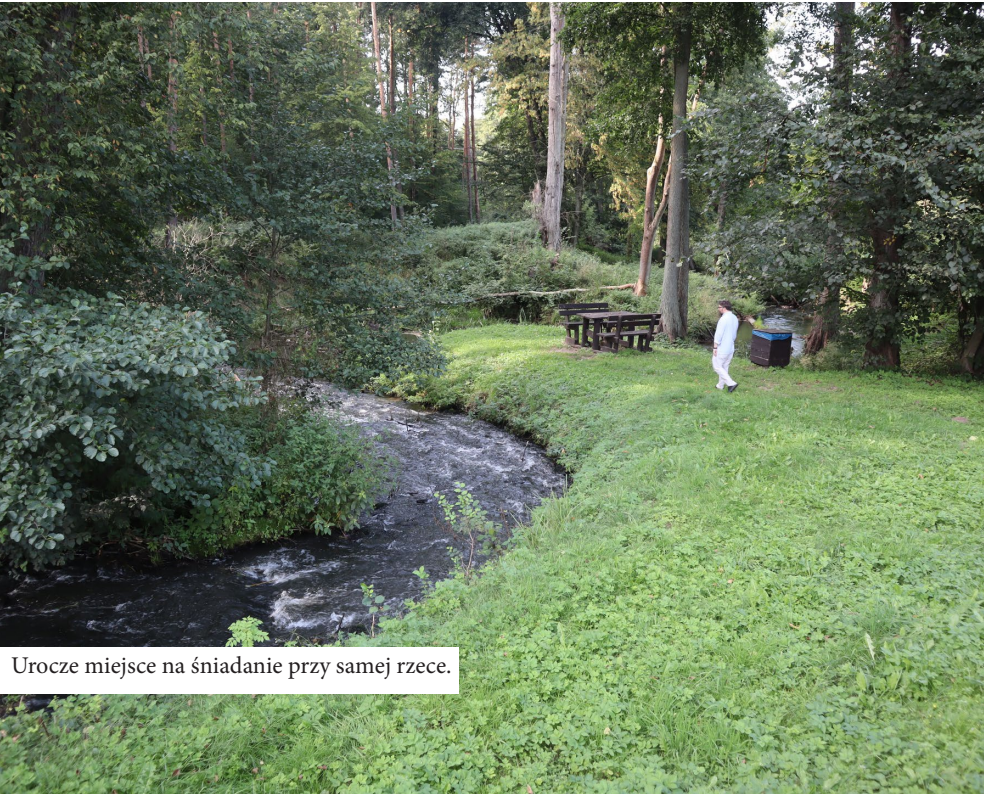


W drodze na młyn mijamy wybudowane w krzeszyckich lasach osiedle seniorskie.

zabudowania, które stały się obiektem sporych kontrowersji wśród mieszkańców już na etapie ich planowania. Temat w sam raz do omówienia z naszymi gospodarzami, bo dotyczy właśnie seniorskiego życia. SENIORENRESIDENZ SONNENWALD SP. Z O. O. ze Szczecina wybudowała w lesie pod Krzeszycami prywatne osiedle dla seniorów. Mimo zapewnień, że w seniorskiej wiosce zamieszkać będzie mógł każdy senior, to niemiecka nazwa spółki, fakt, iż szczeciński przedsiębiorca swoje biznesy prowadzi w Berlinie oraz treść artykułów typu: „Przedsiębiorca z Berlina buduje w Polsce wioskę dla niemieckich seniorów” (www.polskiobserwator.de) nie cieszyły mieszkańców. Nasze współpasażerki, na moje uwagi dotyczące tego, iż osiedle miałyby być dla wszystkich, roześmiały się i powiedziały, że nie ma tam Polaków. Krzeszyckie lasy stały się, więc przykładem coraz bardziej powszechnego trendu. Tworzenia w Polsce prywatnych osiedli dla seniorów z Niemiec, którzy chcą spędzić tutaj jesień życia ze względu na dużo niższe koszty życia i opieki. Wójt gminy przed rozpoczęciem budowy zwracał uwagę na to, że inwestycja przysłuży się gminie w podatkach od nieruchomości, pracy dla miejscowych i pieniądzach, które mieszkańcy osiedla zostawiają w krzeszyckich portfelach. Nie wnikając w politykę przyglądamy się mijanemu osiedlu z ciekawością. Zmierzając spacerem lub autem na III młyn trzeba minąć po drodze tę inwestycję. Widzimy, że ciagle trwa tam budowa. Duże przestronne, oszklone mieszkania, z zewnętrzną siłownią, ścieżkami spacerowymi i bliźniacze domki. Przyjemne miejsce na spędzenie starości. Po okamgnieniu jesteśmy na miejscu. Słyszę wielki oddech ulgi ze strony Oli. Miejsce jest piękne i zagospodarowane. To daje jej nadzieję, że nie będzie tak strasznie. III młyn nad Postomią rzeczywiście robi wrażenie, choć resztek młyna, tutaj, gdzie przyjdzie nam rozbić obóz, nie zobaczymy. Jest za to dobrze przygotowana polana, stawik i bystro płynąca rzeka Postomia. Do tego dwie wiaty z ławkami i stołami, miejsce na ognisko z ławkami, pomosty do dobijania kajaków z oznakowaniem, plac zabaw dla dzieci, drewniane śmietniki oraz tablice w języku polskim i niemieckim opisujące historię przedwojennych młynów. Za dnia prezentuje się to niezwykle urokliwie i trzeba przyznać, że seniorki z Krzeszyc miały rację.



Autor popisujący się młodzieńczą
sprawnością nad rwącym nurtem Postomii.



Urocze miejsce na śniadanie przy samej rzece.

Jest pięknie. Przy miejscu na ognisko leżą grube drwa dostarczone przez nadleśnictwo (z regulaminu Programu „Nocuj w lesie”: „15. Drewno na rozpalenie ogniska w wyznaczonym miejscu przynieś ze sobą. 16. Pozyskiwanie drewna i innego materiału w dowolnym celu, np. rozpalenia ognia, czy budowy konstrukcji obozowych, jest zabronione.”). Krótkie spojrzenie w oczy mojej żony i wiem, że jak przyjdzie co do czego, to umrzemy, a ogniska pewnie nie damy rady rozpałić. Nawet zapalek lub zapalniczki nie wzięliśmy, prawdziwi surwiwalowcy. Ola ustawia seniorów do zdjęcia, a ja robię krótki obchód. Zatrzymuję się nad rzeką i podziwiam jej bystry nurt. Doceniam fakt, że nad samym brzegiem leśnego strumienia również postawiono ławki i stolik. W takich bajkowych okolicznościach zapakowane na drogę kanapki smakować będą jak kawior. Ze względu na rwący prąd rzeki, charakterystyczny dla przebiegu w jej górnych odcinkach, Postomia porównywana jest do rzek górskich. Za chwilę będę skałał z kamienia na kamień w korycie rzeki, popisując się przed Olą, gdy woda z głośnym szumem rozpryskiwać się będzie wokół mnie. Na razie jednak zachowuję klasę, wszak nie jesteśmy tu sami. Jeszcze. Postomia jest bardzo czysta i obfituje w ryby: szczupaki, płocie, węgorze, okonie. Jedyne „rodziny”, który przyjechał z nami z klubu seniora mówi nam o tym, że w rzece trafiają się też pstrągi, co jest dowodem na jej wysoką jakość i natlenienie. Postawione przy ścieżce leśnej tablice informują mnie, że w tutejszym lesie dobrze się też bawią wydry, różne gatunki kaczek, żab, ropuch, a w ściółce spotkać można padalca zwyczajnego. Aby stworzyć przytulne warunki dla bioróżnorodności nadleśnictwo odtworzyło dwa zbiorniki wodne, które istniały tutaj w czasach przedwojennych i służyły do gromadzenia wody na potrzeby istniejących młynów. Nie bez powodu miejsce, w którym się robimy nosi nazwę trzeci młyn. Takich młynów zasilanych przez Postomię i wykorzystujących jej duży spadek i szybki bieg było kiedyś cztery. Między innymi młyny przyczyniły się do gospodarczego rozwoju wsi. Trzeci młyn, przy którym robimy namiot dziś nie istnieje, choć z opowieści mieszkańców wynika, że mielono w nim mąkę jeszcze po drugiej wojnie światowej. Z jednej strony bystro płynie więc rzeczka, z drugiej błyszczy w słońcu staw stworzony w ramach programu małej retencji, a z pozostałych stron otacza nas las. Jest malowniczo. Robimy sobie wspólne zdjęcie z seniorkami (i jednym panem) i żegnamy się wylewnie. Wszyscy żartują, żebyśmy nie wpuszczali niedźwiedzi i wyrażają podziw dla naszej odwagi. Zostajemy sami. Cieszymy się sobą i otaczającą nas przyrodą. Piękno natury, bezchmurne niebo, urokliwe otoczenie, to wszystko daje nam nadzieję, iż nasz pierwszy w życiu nocleg w namiocie, z dala od cywilizacji będzie udany. Korzystając z okazji, że nikogo tutaj nie ma, a mamy prawie trzydzieści (Ola) i trochę ponad trzydzieści (ja) lat udajemy się na plac zabaw. Ślizgawka, huśtawki, drabinki, nie bawiliśmy się tak od dawna. Potem spacerujemy wzdłuż rzeki i leśnych ścieżek. Nasz prowiant i namiot zostawiliśmy na polanie, ale nie tracimy ich z oczu, poza tym jest pusto i cicho, i zauważylibyśmy każdego z daleka. O godzinie 19:00 postanawiamy rozbić namiot, zanim niepostrzeżenie zajdzie słońce. Musimy pamiętać, że nie ma tutaj oświetlenia. Bez źródła światła będzie, no cóż... bardzo, ale to bardzo ciemno. Odbywamy krótką dyskusję, w którym miejscu rozbić namiot. Daleko od wiat, żeby nie przeszkadzali nam ludzie, gdyby przyszli tutaj nad ranem. Jednak nie za daleko, aby nadal skorzystać z dobrze udeptanej ziemi i mieć poczucie namiastki cywilizacji, którą te wiaty dają. Zachęcam, abyśmy rozbili się bliżej płynącej rzeki, a dalej od stawu. Stojąca woda przyciąga wszak owady, a nie chcemy walczyć z komarami. Myśląc o młynach, odtworzonych zbiornikach wodnych, rzece i dużej wilgotności otaczającego nas terenu przypominam sobie historię o Ameryce nad Wartą. Musicie ją poznać, bo to fascynująca opowieść. Tablice informacyjne ustawione wokół trzeciego młyna informują nas o tym, iż do rozwoju gospodarczego Krzeszyc prócz wybudowania w roku 1830 drogi Kostrzyn-Skwierzyna przyczyniło się osuszanie błot nadwarciańskich w II połowie XVIII wieku. Osuszanie to było zasługą kolonistów w ra-



Autor z Krzeszyckimi seniorami.



Odtworzone przez nadleśnictwo zbiorniki wodne małej retencji.

mach akcji zapoczątkowanej przez króla Prus Fryderyka II (1740–1786). Zgodnie z przekazywaną z pokolenia na pokolenie anegdotą do króla miała zgłosić się grupa poddanych z prośbą o pozwolenie na wyjazd do Ameryki. W tym czasie emigracja za ocean była dość popularna, jeśli nie miało się przyszłości w starym świecie (zdecydował się na to chociażby mój cioteczny praprapradziadek Antoni Dukarski w 1881 r.) Król jednak postanowił ich zatrzymać i odpowiedział, że zbuduje im nową Amerykę na miejscu, nad Wartą. Tyle anegdoty, a skutki tej królewskiej decyzji możemy zobaczyć do dzisiaj na mapach wokół Krzeszyc. Koloniści wysłani do osuszania Łęgu Krzeszyckiego w okresie fryderycjańskim założyli szereg miejscowości o jakże egzotycznych nazwach, takich jak Yorkstown, Sumatra, Annapolis (Kuczyno), Charlestown, Ceylon (Czaplin), Florida, Hampschire (Budzigniew), Havanna/Savana, Jamaica (Jamno), Corsica (Przemysław – Kosarzewo), Maryland (Marianki), New York, Quebeck, Pensylwanien, Philadelphia, Saratoga (Zaszczytowo), czy Malta, które w publicystyce nazywane są Ameryką nad Wartą, za sprawą powstałej w 1833 r. ostatniej z miejscowości, nazwanej właśnie Neu Amerika (dzisiejsza wieś Żabczyn). Te nazwy utrzymały się aż do końca wojny w 1945 r., więc znaki drogowe informowały, że z Krzeszyc do Jamaiki mamy tylko 10 km, a do Maryland zaledwie 3 km. Po wojnie zachowała się tylko nazwa wsi Malta, ale ciekawsze jest pochodzenie nazwy wsi Marianki, trzy kilometry od Krzeszyc. Marianki zostały założone przez kolonistów w 1779 r. jako Maryland (stan w USA). W 1948 r. Komisja Nazewnicza zmieniła tę nazwę na polskie Żyroślawice, ale mieszkańcy byli tak mocno przekonani, że tzw. Ziemie Odzyskane niedługo wrócą do Niemiec, że spontanicznie używali spolszczonego odpowiednika nazwy nadanej wsi przez Niemców: Marianki – Maryland. I to ta nazwa, a nie oficjalne Żyroślawice przyjęła się i została w końcu zatwierdzona. Skąd te egzotyczne nazwy miejscowości rodem zza oceanu? Teorie są różne, począwszy od tej, iż związane są z wymarzonymi przez kolonistów kierunkami, w które chcieli wyemigrować, zanim król wysłał ich do osuszania bagien, aby stworzyli własną nadwarciańską Amerykę. Jak niewdzięczne było to zadanie niech pokaże nam fragment raportu z prac melioracyjnych prowadzonych na miejscu w 1784–1785 roku (za „Nowa Ameryka nad Wartą: kolonizacja Łęgu Krzeszyckiego w okresie fryderycjańskim (II połowa XVIII wieku)” Małgorzaty Dąbrowskiej w „Roczniku Chojeńskim): „wyłonione z wody bagna przedstawiały widok odrażający, o wiele gorszy niż bagna w stanie naturalnym. W pierwszym roku nie rośnie tu nawet trawa. Gdzieniedzie tylko na wzniesieniu widać kępy olch. Bagno między nimi jest czarne, miękkie, a gdy się na nie wejdzie lub nakłuje łaską, okropnie cuchnie. (...) Wokół kłębiły się ogromne ilości jadowitych węży. W tym stanie rzeczy zagospodarowanie tych gruntów, w zależności od położenia, trzeba odkładać na rok następny, a tam, gdzie woda z trudem odpływa, na dwa, a nawet trzy lata, by bagno wyschło, a ziemia stwardniała”. Koloniści musieli być ludźmi odważnymi i twardymi. Dlaczego się na to godzili? Osuszanie bagien i budowanie Nowej Ameryki wiązało się z szeregiem korzyści, wliczając w to zwrot kosztów podróży, wolność osobistą i religijną, zwolnienie ze służby wojskowej, określony umową okres wolnizny (użytkowanie ziemi bez ponoszenia opłat na rzecz panującego), ziemię, a nawet drewno do budowy zabudowań. O tym wszystkim rozmyślałam, gdy rozbijamy namiot nad rzeką, u brzegu zbiorników wodnych małej retencji utworzonych przez nadleśnictwo, aby zmniejszyć ryzyko powodzi i zwiększyć bioróżnorodność.

Szybciej, niż się spodziewaliśmy namiot jest gotowy. Kupiliśmy specjalnie na tą podróż namiot opisywany jako czteroosobowy i zgodnie z naszą intuicją dla dwojga osób w sam raz. Słońce grzeje, więc w środku robi się niemiłosiernie gorąco, ale wystarczy uchylić kłapę na górze namiotu. O dziwo, przed zmrokiem na polanie przychodzą jeszcze ludzie. Dwie rodziny z dziećmi i grupka trojga przyjaciół. Dzieci bawią się na placu zabaw, a dorośli rozmawiają na ławkach. Są tutaj krótko, aby przed zmrokiem wrócić do wioski. Nikt



Namiot gotowy! Przy rozstawianiu namiotu najważniejszy jest klucz francuski.



Teren jest zagospodarowany w wiaty, śmietniki, miejsce na ognisko, stojaki rowerowe a nawet plac zabaw.

nie chce zostać w lesie w ciemną noc. A, zapomniałem, są tacy, którzy właśnie taki mają plan.

Przed przyjazdem wysłałem maila do Nadleśnictwa Lubniewice, które zarządza tymi lasami. Mimo iż nocleg w lesie mniej niż dziewięciu osób i nie dłużej niż dwie noce z rządu nie wymaga zgłoszenia (jeśli jest was więcej, albo planujecie zostać przez dłuższy czas, zgodnie z regulaminem programu musicie poinformować o tym nadleśnictwo mailowo nie później niż 2 dni robocze przed planowanym noclegiem i uzyskać tą samą drogą zgodę na nocowanie), chciałem, aby władze wiedziały, że tutaj będziemy. W razie gdyby pożarły nas wilki, czy coś. Po czterech dniach od wysłania maila (czwartek-poniedziałek) dostaję odpowiedź od pani Joanny Skoniecznej, Specjalisty Służby Leśnej, że nie musimy tego zgłaszać i potwierdzenie, że wskazane przez nas miejsce należy do Programu „Nocuj w lesie”. Musimy, nie mu-



Tak wygląda nocowanie w lesie. Dwa jasne punkty w ciemności to okulary autora.

simy, lepiej niech wiedzą.

Przychodzi noc i uderzają nas dwie rzeczy. Jest niesamowicie ciemno. I zaczyna się robić bardzo zimno. Po wyjściu z namiotu nie widać praktycznie niczego. Wewnątrz świecimy sobie lampami fotograficznymi. Żyjąc wiecznie w otoczeniu ulicznych lamp i innych źródeł światła, zapomnieliśmy o tym, co oznacza mrok. Wyobraźcie sobie teraz sytuację, w której w środku nocy musimy wyjść z namiotu za potrzebą. A właśnie, te kwestie też są uregulowane w programie „Nocuj w lesie”. Punkt 23: „Załatwiając potrzeby fizjologiczne, zatrzymaj po sobie ślady. Ogranicz używanie środków higieny osobistej ingerujących w środowisko naturalne np. chusteczek nawilżanych.”. I nie potknij się w nocy o własne nogi. Wracając do namiotu dzwonię do Oli, coby świeciła lampami, jak obsługa lotniska podczas awaryjnego lądowania samolotu, bo nie widzę czubka własnego nosa. Nie wiem, w którym kierunku idę (z regulaminu: „zostaw na noc zapalone, widoczne z daleka światło”). Wyjścia ograniczamy więc do minimum. Ciemność ma też swoje plusy. Rozgwieżdżone nocne niebo jest przepiękne. W mieście musimy borykać się ze smogiem świetlnym. Z teleskopem na balkonie nie widzę nawet połowy tego piękna, które ukazuje się moim oczom w krzeszyckich lasach. Jeśli zaś chodzi o chłód w namiocie, to nie tylko kwestia spadku temperatury w nocy. Chłód bije też od ziemi. Wzięliśmy grube śpiwory, ale nie pomyśleliśmy o materacu lub macie. Jest twardo. Nad ranem wskoczmy do jednego śpiwora, z drugiego robiąc materac. Damy radę. Byle przetrwać noc, wszak nic teraz nie zrobimy, jesteśmy w obcym miejscu, bez kogośkolwiek znajomego, do którego moglibyśmy zadzwonić o pomoc. Grzejemy się nawzajem. To prowadzi do kolejnej rzeczy, na którą się nie przygotowaliśmy. Przy gwałtownych ruchach uderzamy w ścianki namiotu i spada na nas deszcz kropel. Pierwsza nasza myśl? Zaczęło padać! Ale dlaczego przecieka nieprzemakalny namiot? Szybko okazuje się, że to nie deszcz. To para wodna, która w dużych ilościach skropliła się na wewnętrznych ściankach namiotu. Ta woda to w dużej mierze wilgoć, którą wydychamy – powietrze wydostające się z płuc jest nasycone parą, a w ciągu nocy dorosły człowiek może wydychać nawet 1 litr wody. Ta woda gromadzi się w postaci rosy na ścianach. Sami więc stworzyliśmy deszcz wewnątrz naszego namiotu. Uderzenie w ściankę i grube krople odrywają się od syntetycznego materiału, spadając na nasze głowy. Internet jest pełen rad, jak tego uniknąć (gdybym tylko przeczytał je wcześniej). Zwiększyć wentylację namiotu, napiąć go mocniej, tak aby wewnętrzna sypialnia z siatki nie stykała się z materiałem tropiku, nietrzymanie w namiocie mokrej odzieży, butów, itp. Na razie, więc unikamy gwałtownych ruchów. Są i plusy. W nocy bystra Postomia szmerze niesamowicie. Ola oznajmia zdumionym głosem, że to „brązowy szum”, dźwięk, który włącza sobie nocą w telefonie, aby ułatwiać jej zasypianie. Częstotliwość „brązowego szumu” rzeczywiście przypomina tę, jaką wykazują dźwięki rwącej rzeki. Szmer rzeki kołysze nas, więc do snu. Jest twardo, grzejemy się swoimi ciałami, świecimy lampami fotograficznymi, oszczędzamy baterie w telefonach, kłócimy się o głupoty i gadamy o życiu. Żyjemy. Nasz pierwszy nocleg w lesie. Jest zimno, twardo, niesamowicie ciemno i cicho, nie licząc szumu rzeki. Gdy udaje nam się na chwilę przysnąć budzą nas dziwne odgłosy. Coś skrobie, coś pęka, coś pluska. Ola wyciąga skądś zapalniczkę (patrzcie, jednak miała!) i dezodorant (można spać w lesie, ale trzeba ładnie pachnieć). Ustawia się przy wejściu do namiotu. Jeśli cokolwiek się zbliży usmaży intruza jak obcego w filmie „Coś” Carpentera. Modłę się, żeby to nie był człowiek, bo będzie niezręcznie, gdy potraktuje go prowizorycznym miotaczem ognia. Na szczęście dziwne odgłosy się kończą. Kładziemy się i na powrót próbujemy zasnąć. Rano wita nas drobny deszczyk. Przeżyliśmy. Wychodzę z namiotu i cieszę się porannym słońcem. Poza nami nikogo. Nikt nie wpadł na pomysł, aby nocować tutaj w namiocie, w tym samym czasie, dzięki czemu mogliśmy liczyć na spokój i samotną walkę z naturą. Pakujemy namiot i nasze rzeczy. Udaję się jeszcze na chwilę nad Postomię i widzę drzewo świeżo nadgryzione



Bobrza robota potrafi narobić strachu w nocy.

przez bobry. Wyjaśniły się tajemnicze odgłosy w nocy. Żegnamy się z tym uroczym miejscem i naszym ekstremalnym doświadczeniem nocy spędzonej w lesie. Wracając piechotą do Krzeszyc mijamy ulicę o nazwie 15 Południka. Przez Krzeszyce przebiega bowiem 15 południk długości geograficznej wschodniej. Informuje o tym również obelisk ustawiony we wsi w 2007 roku. Przemoczeni, zziębnięci, ale szczęśliwi kierujemy się na przystanek autobusowy. Czujemy się trochę jak pionierzy, którzy zdobywali te okolice, walcząc z naturą i oddając je cywilizacji. Czeka na nas gorąca kąpiel, prąd, Internet, jedzenie na telefon i centralne ogrzewanie. Jeśli kręci was odpoczynek od cywilizacyjnego szumu i chęć spróbowania czegoś nowego, czegoś bardziej ekstremalnego, jeśli chodzi o turystykę, to jest to coś dla was. Jeśli zaś szukacie po prostu pięknej okolicy, być może nowego miejsca na kajakowy spływ to również jest to miejsce dla was. Przybывajcie nad Postomskie Młyny.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Do Krzeszyc przyjechaliśmy z Gorzowa Wielkopolskiego autobusem prywatnej spółki ze Słubic PT-H TRANSHAND. Podróż zajęła nam pół godziny i na miejscu byliśmy po 15:00. Z Gorzowa do Krzeszyc kursują trzy połączenia autobusowe. Kiedyś Krzeszyce posiadały swoją stację kolejową, niestety dziś jest nieczynna, a po drodze na Postomskie Młyny możemy minąć stary budynek stacji i opuszczoną trację. Od centrum Krzeszyc na trzeci młyn jest zaledwie dwa kilometry, półgodzinny miły spacer prostą drogą, ulicą sulęcińską, a następnie Leśną, mijając osiedle seniorskie. Gdybyście byli autem i tak nie wjedziecie pod samo miejsce, gdyż leśna droga jest zagrodzona szlabanami. Auto należy zostawić przed szlabanem i udać się na spacer. Po drodze zobaczycie tablicę informacyjną z mapką, która pokaże wam, gdzie jesteście i gdzie znajdują się młyny oraz miejsce obozowania.

O tajnej fabryce Hitlera i zwycięstwie natury

Ruiny fabryki w Krzystkowicach

„24 kwietnia 2018 roku, przelatując nad Polską, satelita obserwacji Ziemi rejestruje taki obraz [zdjęcie ukazuje pięć idealnych okręgów w środku lasu]. Te duże kręgi mają niesamowicie symetryczny, zygzakowaty kształt, co jest dziwne. Po zbliżeniu okazuje się, że mają niesamowicie grube ściany. Analiza sugeruje, że ich średnica wynosi około 4,5 metra. Historyk wojskowości, Martin Morgan, przyleciał do Warszawy. Przemierza lasy Polski Zachodniej, aby zbadać sprawę.” Tak zaczyna się drugi odcinek siódmego sezonu cieszącego się uznaniem amerykańskiego serialu popularnonaukowego „What on Earth” (w Polsce znany jako „(Nie)Ziemskie tajemnice”), który wyemitowano w 2020 r. Co tak przyciągnęło uwagę twórców zza oceanu, że zdecydowali się na podróż do Lubuskiego, aby poświęcić odcinek kręgom w lesie widzianym z kosmosu? Każdy odcinek serialu skupia się na tajemniczych obiektach zaobserwowanych przez krążące na orbicie satelity. Specjaliści starają się odkryć znaczenie tego, co widać na zdjęciach. Serialowi towarzyszy zawsze tajemnicza, sensacyjna atmosfera, ale trzeba im przyznać, że koniec końców trzymają się faktów, unikając pseudonaukowych teorii (choć zdarzają się im też uproszczenia i przeinaczenia, które mają nadać odkryciom bardziej ekscytujące znaczenie). W odcinku o kręgach w lesie zdjęcie wykonane przez satelitę rzeczywiście przyciąga uwagę swoją tajemniczością. Kolisto budowle zlokalizowane są w samym środku lasu, schowane wśród drzew, z dala od jakichkolwiek zabudowań, co każe podejrzewać, że celowo miały zostać ukryte przed widokiem z ziemi i z powietrza. Dlaczego tak je ukrywano i czym właściwie są? Zapraszamy na wycieczkę po historii tajnych wojennych zakładów, których przeznaczenie nadal stanowi tajemnicę. Będzie to historia ogromnego kompleksu militarnego, który nie bez powodu zafascynował również historyków zza oceanu.

Nasza podróż rozpoczyna się w Nowogrodzie Bobrzańskim. Pięciotysięcznym mieście położonym trzydzieści kilometrów od Zielonej Góry. Naszym celem jest Kombinat DAG Alfred Nobel Krzystkowice (Alfred Nobel Dynamit Aktien-Gesellschaft). Krzystkowice nie znajdziemy na współczesnych mapach. Taka miejscowość nie istnieje od 1988 r. Historia upadku zakładów produkujących amunicję na cele wojenne to również historia wymazania Krzystkowic z mapy. Nazwa Krzystkowice pochodzi od niemieckiego Christianstadt i została nadana na cześć założyciela miasta Christiana von Promnitz (jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że nazajutrz po wizycie w Nowogrodzie przyjdzie nam zwiedzać rodzinną kryptę Promnitzów. Zobacz rozdział „O tajemniczych tunelach, architektonicznej perełce i ludzkiej naturze. Fara w Żarach”). Powstałe w XVII wieku miasto przetrwało do 1946 r., gdy silnie zniszczone utraciło prawa miejskie, aby w 1988 r. jako wieś Krzystkowice stać się częścią Nowogrodu Bobrzańskiego, jego zachodnią dzielnicą, i w ten sposób zniknąć z map. Czekamy na naszego przewodnika, Rafała, gdy okazało się, że wysiedliśmy na niewłaściwym przystanku kolejowym. W Nowogrodzie Bobrzańskim są dwie stacje: Nowogród Bobrzański i Nowogród Bobrzański – Osiedle. Osiedle, o którym mowa w nazwie, to właśnie Krzystkowice. Miasto powstałe ze sztucznego połączenia dwóch miejscowości, leżącej na lewym brzegu Bobru wsi Krzystkowice i prawobrzeżnego Nowogrodu. Połączenie tych dwóch obszarów w jedno miasto stało się dla historyków świetnym przykładem problemów związanych z zanikiem historycznych granic państwowych i integracji przygranicznych miejscowości w jeden organizm. Rze-

ka Bóbr stanowiła przez stulecia granicę pomiędzy Śląskiem a Brandenburgią. Nowogród od XIII wieku pełnił rolę jednego z przygranicznych posterunków dla zachodnich polskich peryferii. Krzystkowice powstały kilka wieków później, dla ewangelickich uchodźców z Nowogrodu, uciekających przed Austriakami w 1664 r. Oddzielone rzeką i granicami państwowymi miasta stały się ekonomicznymi rywalami, o zupełnie innych strukturach społecznych i wyznawanej religii (ewangelickie Krzystkowice i katolicki Nowogród). W nowej komunistycznej rzeczywistości połączono te dwie miejscowości w jedno. Takie miasto-zlepieniec stworzyło przestrzennie niespójną całość (znaczna odległość między osiedlami bez fizycznej styczności). Stąd konieczność dwóch stacji kolejowych, o których nie wiedział nawet Rafał, przekonany, że w Nowogrodzie jest tylko jedna stacja, na której akurat nas nie było. Zamiast wsiąść na stacji kolejowej po stronie brandenburskiej, wysiedliśmy po stronie śląskiej. Badacz z Uniwersytetu Śląskiego w Opolu, Wiesław Drobek, wskazuje, że po dziś dzień integracja społeczna tych dwóch miejscowości nie została zakończona. W zależności od tego, po której stronie rzeki się mieszka, mówi się o innych mieszkańcach Nowogrodu „my” albo „oni”. Czekamy więc na Rafała, aby z nim „przeprawić się” przez Bóbr i dawną historyczną granicę.

Rafał Marcinkiewicz przyjeżdża po nas swoim terenowym samochodem. Jest z synem, który tak jak tata uwielbia bunkry i eksploracje. Rafał jest jednym z założycieli Stowarzyszenia Historyczno-Turystycznego BASTION. Stowarzyszenie prowadzi badania historii fortyfikacji i ich ochrony, a także określa możliwość zagospodarowania wybranych dzieł fortecznych pod szeroko rozumianą turystykę. Poza tym nasz przewodnik jest społecznym opiekunem zabytków.



Autor z Rafałem Marcinkiewiczem.

Na wstępie zaznacza, że nie zobaczymy dziś wszystkiego. Nic dziwnego, kompleks jest ogromny. Zajmuje powierzchnię ponad 30 km². Współcześnie doliczono się od 200 do 300 obiektów zachowanych w różnym stanie, ale szacuje się, że w czasie wojny mogło funkcjonować nawet 500-1000 różnych budowli. DAG Krzystkowice stanowiły samodzielny, niemal samowystarczalny organizm. Ogrom przedsięwzięcia był konieczny. Fabryka miała zapewnić Hitlerowi wojenne zwycięstwo. Mimo że nie znamy pełnego profilu produkcyjnego fabryki ze względu na jej ściśle tajny charakter, wiemy, że produkowano tu, m.in. heksogen. Jak powtarzają eksperci w amerykańskim serialu „What on Earth”, był to jeden z najpotężniejszych nieatomowych materiałów wybuchowych. Krzystkowice zaś były największym zakładem III Rzeszy, w którym produkowano ten związek wybuchowy. Oprócz tego w kompleksie wytwarzano również setki ton nitrocelulozy, którą napełniano torpedy, czy pociski artyleryjskie, oraz inne substancje wybuchowe jak nitroguanidyna, czy azotan metyloaminy. Nazistowska fabryka śmierci w krzystkowickich lasach pracowała praktycznie do samego końca. Produkcję wstrzymano w lutym 1945 r., tuż przed przybyciem Rosjan. Poza rozmiarami, niezwykle były również technologie i sam proces produkcyjny zastosowany w Krzystkowicach, ale do tego jeszcze przejdziemy, gdy przyjdzie nam podziwiać żelbetowe konstrukcje. W niektórych publikacjach wspomina się nawet o fantastycznej hipotezie, że w tutejszych lasach pracowano nad stworzeniem hitlerowskiej bomby atomowej. Przywoływany Wiesław Drobek z Uniwersytetu Śląskiego w swojej pracy o Nowogrodzie i Krzystkowicach „Disappearance of inner historical border (the case study of Nowogród Bobrzański, Poland)” pisze o DAG w Krzystkowicach: „During the Third Reich period Krzystkowice housed IG Farben – a huge chemical plant – and a research center working on atomic bomb” (w wolnym tłumaczeniu: „W czasach III Rzeszy w Krzystkowicach mieściła się fabryka IG Farben – ogromne zakłady chemiczne – oraz ośrodek badawczy, w którym pracowano nad bombą atomową”).

Leśne drogi prowadzące do kompleksu są w wielu przypadkach zamknięte szlabanami, uniemożliwiając wjazd autem. Część dróg oznaczono jako należących do nadleśnictwa. Pamiętajmy, że (o czym informują Lasy Państwowe na stronie lasy.gov.pl) na drogach leśnych nie muszą być ustawione szlabany i znaki zakazujące poruszania się po nich pojazdami silnikowymi, gdyż zakaz ten wynika wprost z zapisów ustawy o lasach. Obowiązuje on cały rok, nie tylko w okresie zagrożenia pożarowego. Każdym pojazdem można wjechać do lasu drogą leśną tylko wtedy, gdy jest wyraźnie ona oznaczona drogowskazami dopuszczającymi ruch (np. wskazany jest kierunek i odległość dojazdu do miejscowości, ośrodka wypoczynkowego czy parkingu leśnego). Najlepiej kierować się ogólną zasadą wjeżdżania samochodem do lasu tylko tam, gdzie wyraźnie pozwalają na to znaki drogowe. Zgodnie z ustawą o lasach nie ma obowiązku oznakowania znakami zakazu dróg, gdzie nie wolno wjeżdżać. Należy zatem stosować zasadę, że droga nieoznakowana nie jest dopuszczona do ruchu. Wjeżdżając samochodem narażamy się na mandat od Straży Leśnej. Najlepszym sposobem zwiedzania leśnego kompleksu w Krzystkowicach jest wycieczka rowerowa. Pomiędzy poszczególnymi zabudowaniami jest dość spora rozpiętość terenu, którą najszybciej i najłatwiej pokonać rowerem. Duże odległości pomiędzy budynkami zakładu nie są przypadkowe. W przypadku eksplozji, w którymkolwiek z obiektów chroniło to pozostałe przed uszkodzeniem. A niekontrolowanych wybuchów w DAG w Krzystkowicach w czasie wojny nie brakowało. Wiemy o co najmniej trzech dużych eksplozjach, w których ginęli ludzie. Jesienią 1944 roku siła przypadkowego wybuchu była tak wielka, że w promieniu kilku kilometrów legły w gruzach murowane budynki. Śmierć poniosły dziesiątki osób, a produkcja całego kombinatu została sparaliżowana. W styczniu 1945 roku miało dojść do wielkiego wybuchu w sektorze wypełniania bomb, prawdopodobnie wskutek sabotażu. Liczbę ofiar ocenia się na setki. Ochronę przed eksplozją miała też zapewniać specjalna budowa obiektów, w szczególności silosów,



Na zwiedzanie kompleksu najlepiej wybrać rower.



Podczas wycieczki można kierować się oznaczeniami ścieżki rowerowej „Rowerem – śladami historii”.

w których przechowywano materiały wybuchowe. Podczas naszej wycieczki po lesie mijamy sporo grup rowerzystów. Zresztą została w tym celu ustanowiona specjalnie trasa rowerowa „Rowerem – śladami historii”. W całym lesie, m.in. ze środków województwa lubuskiego postawiono drogowskazy kierujące nas do poszczególnych budynków kompleksu i wytyczające trasę rowerowej wycieczki. Oznakowanie trasy jest częścią projektu zrealizowanego przez lokalne Stowarzyszenie FIBER, którego zwieńczenie (rajdem rowerowym) nastąpiło we wrześniu 2022 roku. Znaki zawierają również kody QR. Z ciekawości zeskanowałem kod znajdujący się na tabliczce wskazującej drogę do „magazynów metanolu”, aby dowiedzieć się, jakie dodatkowe informacje przekazują tablice. Po zeskanowaniu telefonem otworzyła się strona internetowa z mapą ukazującą moje aktualne położenie. Przydatne, gdy chcemy określić, gdzie się właśnie znajdujemy w stosunku do innych budynków kompleksu. Nawigacja w gęstym lesie nie jest wszak taka łatwa, a tabliczki z kierunkami i mapa z kodami QR to duże ułatwienie. Na swojej stronie Stowarzyszenie FIBER informuje, że: „Oprócz znaków w terenie powstał także folder oraz mapka, dzięki której każda osoba może bez problemu dotrzeć do tych obiektów.” Niestety na stronie stowarzyszenia nie znajdziemy wspomnianej mapy. W Internecie możemy znaleźć natomiast mapę leśnego kompleksu z zaznaczonymi ciekawszymi obiektami przygotowaną przez Gminę Nowogród Bobrzański w ramach projektu „Razem ocalimy od zapomnienia”, z której możemy skorzystać podczas zwiedzania. Nie trzeba też posiadać specjalistycznej wiedzy, by dowiedzieć się co nieco o kompleksie. Na najważniejszych budynkach zawieszono tablice informacyjne w języku polskim i niemieckim z wyczerpującym opisem tego, jaka była funkcja danego obiektu w czasie wojny. Niektórzy podróżnicy narzekają, że część tablic zawieszona jest tak wysoko, że trudno je odczytać, ale my nie mieliśmy z tym problemu. W kilku miejscach nadleśnictwo postawiło również wielkie tablice z przypomnieniem historii całego kompleksu. Zwiedzanie tego leśnego kompleksu jest wartościową lekcją historii.

Pierwszy budynek, od którego zaczynamy zwiedzanie to budynek administracyjny, tzw. kasyno. Pełnił funkcję kantyny oraz siedziby dyrekcji. Mieściło się tam też kasyno wojskowe, biblioteka, a nawet sala kinowa. Pracownicy czasowo zamieszkiwali w Krzystkowicach, musieli więc liczyć na udogodnienia. Rafał zatrzymuje się przed ścianą i ze zdziwieniem mówi, że kiedy był tu ostatni raz dwa lata temu, na budynku znajdowały się piękne płaskorzeźby przedstawiające mężczyzn ze sztandarami. Teraz obchodzi budynek z różnych stron i po płaskorzeźbach ani śladu. Tablica informacyjna o „kasynie” informuje, że rzeźba nie jest dziś kompletna. W rzeczywistości nie istnieje już w ogóle. Płaskorzeźby musiały więc zniknąć już po powieszeniu tablicy. Wyjaśnienie znajduję później w Internecie. Na jednym z blogów podróżniczych odnajduję zdjęcie kasyna z płaskorzeźbami. Rzeczywiście są piękne i nadają budynkowi charakteru pałacyku. Autor bloga (my-tuitam.pl) informuje jednak, że na zdjęciu widać pęknięcie w ścianie. Wszystko powyżej pęknięcia zawałiło się w 2022 r. Powyżej znajdowały się właśnie płaskorzeźby, dlatego dziś już ich nie zobaczymy. DAG w Krzystkowicach się rozpada. Z każdym dniem budynki niszczeją, a ich miejsce zajmuje las. W ogromnych silosach, symbolu tego kompleksu, wyrastają kilkumetrowe drzewa. W budynku elektrociepłowni, w świetliku stworzonym przez otwór po istniejącym tu dawniej teleskopowym kominie wyrasta drzewo korzystając z tego nikłego źródła światła w ciemności. Drzewo wyrastają na kominach elektrociepłowni. Natura przejmuje to miejsce. Dostajemy migawkę z tego jak będzie wyglądał świat, gdy znikną ludzie. Wygląda to pięknie, ale dla samego kompleksu jest katastrofalne. Jeśli chcemy zachować te budynki jako świadków historii i aby służyły do celów turystycznych musimy działać teraz. Dobrym przykładem jest bliźniacza dla Krzystkowic fabryka w Bydgoszczy. W 2011 r. w zaadaptowanych ośmiu obiektach (ok. 1% powierzchni pierwotnej fabryki amunicji) otwarto Exploseum – skansen



Widoczne z oddali kominy elektrociepłowni.

niemieckiej architektury przemysłowej z okresu II wojny światowej wraz z podziemną trasą turystyczną oraz Muzeum Zakładów Zbrojeniowych DAG Fabrik Bromberg. Bydgoszcz świetnie wykorzystał szansę, aby wypromować turystycznie swoje obiekty. Zachowując i udostępniając zaledwie kilka najbardziej reprezentacyjnych. Po wejściu na stronę www.explouseum.pl¹ widać, że radzą sobie świetnie. W DAG Krzystkowie potencjał turystyczny miejsca nie jest wykorzystywany. Budynki się rozpadają, a wszelkie wycieczki odbywają się „na dziko”. Rafał tłumaczy nam, że nadleśnictwo, do którego należy teren nie ma środków, ani pomysłu co zrobić z tym miejscem. Chętnie wydzierżawiliby przynajmniej część obiektów jakiejś organizacji pozarządowej lub instytucji zajmującej się historią, czy militarystyką. Głównym zagrożeniem jest ryzyko, iż komuś z odwiedzających może stać się krzywda, gdy budynek się zawali, stąd co chwila porostawiane tabliczki, aby nie wchodzić do obiektów. O zabezpieczeniu ich nie ma mowy. Jak mówi nam Rafał kompleks jest ogromny. Zabezpieczenie całości to gigantyczne pieniądze. Szansą dla Krzystkowic jest wykorzystanie turystycznie przynajmniej najbardziej reprezentatywnych obiektów, zanim obrócą się w ruinę. Podobnie zresztą radzi Wojciech Eckert z Uniwersytetu Zielonogórskiego w odniesieniu do Krzystkowic. W swoim artykule opublikowanym w czasopiśmie „Budownictwo i architektura” pisze: „Brak możliwości zachowania i odpowiedniego utrzymania znacznych partii kompleksu zmusza do szukania rozwiązań, które umożliwiłyby uratowanie przed dewastacją obiekty znajdujące się w najlepszym stanie technicznym i jednocześnie zróżnicowane pod względem funkcjonalnym.”. Te reprezentacyjne obiekty można by było udostępnić do zwiedzania, jednocześnie zamykając dostęp do pozostałych niebezpiecznych obiektów.

¹ do pobrania pod adresem: <https://nowogrodoborz.pl/wp-content/uploads/2019/04/mapa-DAG.pdf>

Kolejne kroki kierujemy leśną ścieżką do budynku elektrociepłowni. Prowadzą nas widoczne ponad koronami drzew dwa kominy zachowane w świetnym stanie. Dwa bliźniacze kominy zbudowane z cegły klinkierowej wznoszą się na wysokość 89 metrów. Rafał opowiada nam historię o koledze, który oprowadzał po DAG grupę turystów. Wystarczyła chwila nieuwagi, aby jeden z bardziej krewkich pasjonatów eksploracji wspiął się na prawie dziewięćdziesięciometrowy komin. Zdobywanie komin należy do częstych aktów „odwagi” dla tych, którzy nie boją się o swoje bezpieczeństwo. Pasjonaci geocachingu (gry terenowej, która polega na ukrywaniu w różnych miejscach skrytek, które odnajdywać mają uczestnicy zabawy na podstawie podanych współrzędnych GPS) umieścili w 2015 roku na samym szczycie prawego kominu logbook, czyli dzienniczek, do którego mogą wpisywać się osoby zdobywające komin. Zdecydowanie odradzamy wspinanie się na niezabezpieczony obiekt z czasów II wojny. Wszędzie na terenie kompleksu Nadleśnictwo Krzystkowice, jako zarządca terenu, zamieściło ostrzeżenia o tym, aby nie wchodzić do budynków, gdyż grozi to utratą zdrowia, a nawet życia. Budynki niszczyły i Rafał co jakiś czas wskazywał nam palcem co bardziej niebezpieczne elementy konstrukcji. Zawalenie się ściany kasyna jest doskonałym przykładem. Wystarczy nam zwiedzanie obiektów z zewnątrz i przestrzegamy przed ignorowaniem zakazów. Wewnątrz wszak wszystko zostało rozszabrowane i czekają nas tam tylko puste ściany. Nie trzeba wchodzić do wnętrza, aby móc podziwiać ogrom hitlerowskiej maszyny wojennej. Kompleks ten miał pozostać ściśle tajny. Poza dwoma kominami z cegły, które widzimy elektrociepłownia posiadała jeszcze dwa kominy teleskopowe, które można było składać do wnętrza budynku, aby ukryć je w razie nalotów. Po tych kominach pozostały dziś okrągłe otwory w suficie. Przez otwory pada światło do wnętrza budynku, który poza tym jest pogrążony w ciemnościach. Natura korzysta z okazji i w świetnym kręgu po kominie wyrasta drzewo. Porównując zdjęcie kompleksu wykonane przez satelitę w 2018 roku i ukazane w odcinku serialu „What on Earth” ze zdjęciami wykonanymi w tym roku przez satelitę od Maxar, które możemy zobaczyć na platformie Google Maps widzimy, że przyroda przejmuje to miejsce. Lokalizacja budynków pośród drzew utrudnia fotografowanie, ale doskonale ukrywa tajną fabrykę. Część lokacji, jak ogromne silosy została przysypana kopcami z ziemi, co z jednej strony pozwalało na wzmocnienie konstrukcji w razie wybuchu, a z dru-



Obiekty fabryki skrywa gęsty las. Dzięki temu były zabezpieczone przed nalotem.



Część terenu jest zajęta przez wojsko.
Nie należy się tam szwendać.

giej ułatwiało wtopienie obiektów w otoczenie. W Krzystkowicach powstała filia gestapo we Frankfurcie nad Menem. Tajna policja pilnuje, aby żadne informacje o placówce nie trafiły do aliantów. Elektrociepłownia ma zapewniać samowystarczalność energetyczną kompleksu. To również wpływa na jej lepsze zakamuflowanie, gdyż im mniejsze zapotrzebowanie na surowce z zewnątrz, tym mniejszy ruch wokół kompleksu. Wszystkie surowce można było transportować siecią szyn kolejowych, na których resztki natykamy się w całym lesie. Zezwolenie na przejazd dymiących parowozów przez obszar kompleksu mogło łatwo zdradzić ukryte w lasach instalacje, dlatego lokomotywy wjeżdżające na teren zakładu miały wygaszane paleniska i jechały na zgromadzonej wcześniej parze. Jeśli pary brakowało – można ją było uzupełnić już na terenie DAG, które posiadało własną wieżę ciśnień. Ją również zwiedzamy dziś z Rafałem. Na zwiedzanie kompleksu możemy poświęcić cały dzień, ale nawet gdybyśmy chcieli i bardzo się uparli nie zobaczymy wszystkiego. Część obiektów znajduje się, mianowicie na terenie funkcjonującej jednostki wojskowej. O zakazie wstępu informuje nas tabliczka wisząca na metalowym ogrodzeniu z drutu kolczastego. Wewnątrz wieżyczka wartownicza i współczesny okop. Od 1999 r. nie funkcjonuje w Polsce zakaz fotografowania obiektów państwowych z wyłączeniem tych ważnych dla bezpieczeństwa i obronności państwa. W Rozporządzeniu Rady Ministrów z dnia 21 kwietnia 2022 r. w sprawie obiektów szczególnie ważnych dla bezpieczeństwa lub obronności państwa oraz ich szczególnej ochrony możemy przeczytać, że wykaz takich obiektów prowadzony jest przez Ministra Obrony Narodowej. Gdybyśmy chcieli sprawdzić, czy obiekt wojskowy w Krzystkowicach znajduje się w takim wykazie nie uda nam się to. Wykaz obiektów szczególnie ważnych dla bezpieczeństwa lub obronności państwa, zwany również „infrastrukturą krytyczną”, jest objęty klauzulą tajności i nie jest publicznie dostępny. Osoby nieupoważnione nie mają dostępu do szczegółowych list tych obiektów. W rozporządzeniu znajdujemy jednak ogólny opis obiektów, których nie należy fotografować. Są to, m.in. obiekty, w których produkuje się, remontuje i magazynuje uzbrojenie, sprzęt wojskowy oraz środki bojowe. Robimy więc tylko zdjęcie samej tablicy z zakazem wstępu i nie kręcimy się zbyt długo, co by nie wzbudzić niepotrzebnych podejrzeń.



Ogromne zbiorniki oczyszczalni.

Tym, co decydowało o wyjątkowym znaczeniu kompleksu DAG Krzystkowice była jego samowystarczalność w zakresie surowców koniecznych do budowy materiałów wybuchowych. W wyniku alianckich bombardowań niemiecki przemysł wojenny załamywał się ze względu na problemy z dostarczeniem do fabryk kwasu azotowego niezbędnego w procesie nitrowania. W Niemczech heksogen produkowano od 1935 roku, bazując na hydrolizie urotropiny stężonym kwasem azotowym (metoda SH). W Krzystkowicach produkowano heksogen właśnie metodą SH (istniały również inne metody). Problem z niedoborem kwasu azotowego jak w innych zakładach tutaj jednak nie istniał, gdyż kompleks posiadał własną fabrykę kwasów, halę nitracji i oczyszczalnię. Kwasy wytwarzane i składowane były na miejscu. Oczyszczalnia ścieków ze znajdującymi się przed wejściem ogromnymi basenami była kolejnym obiektem, który odwiedziliśmy z Rafałem. Woda w basenach ma różne kolory, a na ścianach zbiorników zobaczyć można nadzferki świadczące o silnej kwasowości zawartych w nich substancji. Przed dalszym leśnym spacerem Rafał wskazuje mi ręką na pas zrytej ziemi z jakimiś odpadami przypominającymi żwir. Nie wiem, na co patrzę i nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby nie on. „Musiała być tu rampa kolejowa. Te pozostałości to z pewnością podsypka kolejowa. Kolejny obiekt, którego nie ma na udostępnionych mapach” – tłumaczy nasz przewodnik, a ja dochodzę do wniosku, że trzeba mieć doświadczenie i sprawne oko, aby dostrzec wszystko, co w Krzystkowicach zniszczył ząb czasu i szabrownicy.

Największe wrażenie zrobiły na nas budowle, które zostawiliśmy na koniec naszej wycieczki. To te widoczne z powietrza kręgi, które zaciekały Amerykanów. Ogromne żelbetowe zbiorniki o wysokości kilkunastu metrów i dwumetrowej grubości ścianach wzmocnionych przyporami. Łącznie w lesie znajduje się ich pięć położonych w nieprzypadkowej konfiguracji. Nie wiadomo do końca co w nich przechowywano. Pewne jest to, że były to substancje skrajnie wybuchowe. Budowa silosów miała uchronić je przed skutkami wybuchów. Żydowskie więźniarki z filii obozu w Gross Rosen i Auschwitz pokrywały silosy ziemnymi kopcami, które miały je ukryć i wzmocnić (łącznie na terenie krzystkowieckiej fabryki śmierci istniało 11 obozów pracy przymusowej. Mieszkało w nich do 30 tysięcy osób, w tym Polacy, Belgowie, Holendrzy, Francuzi, czy Ukraińcy). Wspinając się po tym ziemnym kopcu, przytrzymując się wystających korzeni drzew wchodzimy na górę, aby spojrzeć w głąb silosów. Ich tajemniczy wygląd był pożywką dla fantastycznych teorii. Dziennikarz Leszek Adamczewski w swoich książkach pisał o tym, że te żelbetowe kopuły były brane za obudowy hitlerowskich reaktorów atomowych. Fakt, że szczyty silosów są otwarte rodził u niektórych teorie, że były one w istocie wyrzutniami rakiet V1 i V2. W rzeczywistości w okresie wojny silosy były zwieńczone drewnianymi kopułami. Taka konstrukcja miała sprawiać, że w razie



Na szczyt silosów trzeba się powspinać.



Wewnątrz silosu natura odzyskuje panowanie.



Jeden z silosów na materiały wybuchowe.

wybuchu składowanych tam substancji siła eksplozji kierowana była ku górze, a drewniany dach wyskakiwał w powietrze jak korek od szampana. Miało to uchronić żelbetowe ściany przed zniszczeniem. Przyglądając się otworowi na szczycie zbiornika, widzimy jeszcze łączenia kiedyś istniejącej kopuły. Zaglądając do wnętrza silosu z jego szczytu, może zakręcić się w głowie. Kubatura budowli jest ogromna. Tabliczki ustawione w ramach ścieżki rowerowej nazywają te konstrukcje „Zbiornikami metanolu (silosami)”. Mógł tutaj być składowany metanol (podstawowy składnik heksogenu), ale mówi się również o innych substancjach wybuchowych. Dziś, zaglądając do wnętrza silosa, mamy kolejny przykład tego, jak życie przejmie dawną fabrykę śmierci. W samym środku silosu wyrasta wysokie, rozłożyste drzewo. Jest to piękny widok. Choć w większości opracowań możemy przeczytać o 5 silosach, to na miejscu, w ich pobliżu znajduje się jeszcze 6 obiekt, budynek przysypany ziemnym kopcem, który niektórzy nazywają 6 silosem (widać to też na zdjęciu z Google Maps), a w którym składowany miał być olej napędowy. Różni się on wyglądem od pozostałych, nie ma otwartej kopuły na szczycie kopca, więc nie można zajrzeć do środka. Eksploratorzy z Podziemnej Polski na kanale You Tube bunkrowo.pl opublikowali film, jak dostają się do środka na linach przez niewielki szyb.

Dzięki gigantycznym rozmiarom kompleksu, zwiedzanie to zajęcie na cały dzień. My poświęciliśmy na to 4 godziny, a zobaczyliśmy tylko część zachowanych obiektów. Trzeba nieco kondycji fizycznej na taki spacer. W zależności od tego, jaką trasę wybierzemy, jest to jednak dobre miejsce na wycieczkę zarówno dla dorosłych, jak i dzieci. 8-letni syn Rafała wręcz nadawał tempo marszowi, a po drodze spał w aucie jak zabity. Nie trzeba być fanem militaristów, aby docenić również piękno lasów Nadleśnictwa Krzystkowie. Lasów obfitujących w grzyby, których bałbym się jednak zbierać w szczególności w bliskości krzystkowickiej fabryki kwasów. Trzeba również zachować szczególną ostrożność w pobliżu samych obiektów. Rafał co kilka chwil ostrzegał nas przed co bardziej niebezpiecznymi miejscami. Przykładowo zejście do oczyszczalni wymaga pokonania stromego pagórka w dół i w górę, gdzie nie ma się czego przytrzymać. Trzeba również uważać pod nogi na studzienki, które mogą znajdować się pod poszyciem leśnym. Zdecydowanie zaś przestrzegamy przed wchodzeniem do wnętrza budynków. Wystarczy rzut okiem z zewnątrz, aby przekonać się o ogromie jednej z największych hitlerowskich fabryk śmierci i kontraście, jaki dla tego miejsca tworzy życiodajna natura, która powoli i nieubłaganie przejmuje je w swoje władanie, tworząc piękne widoki tam, gdzie kiedyś tworzono narzędzia zagłady.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Wyruszyliśmy z północnej stolicy województwa, czyli Gorzowa Wielkopolskiego. Nie znajdziemy bezpośrednich połączeń komunikacją publiczną z Nowogrodem Bobrzańskim, ale wystarczy udać się z Gorzowa, do drugiej stolicy Lubuskiego, czyli Zielonej Góry (dokąd znajdziemy sporo połączeń w ciągu całego dnia, zarówno autobusowych, jak i kolejowych), aby pociągiem móc udać się stamtąd do Nowogrodu. Z Zielonej Góry do Nowogrodu podróż koleją zajmuje zaledwie 30 minut, a pociągi odjeżdżają co godzinę. Obłożenie jest niewielkie, według danych Urzędu Transportu Kolejowego stacja Nowogród Osiedle obsługuje do 20 pasażerów na dobę. Czeka nas przy tym sporo przystanków, bo pociąg zatrzymuje się praktycznie przy każdej wiosce mijanej po drodze, czasem nawet co kilka minut. Pamiętajmy, aby wsiąść nie na stacji Nowogród Bobrzański, ale Nowogród Osiedle, skąd będziemy mieli bliżej do leśnej fabryki DAG. Po samym kompleksie najlepiej poruszać się rowerem, lub zrobić sobie spacer.

O tajemniczych tunelach, architektonicznej perełce i ludzkiej naturze

Fara w Żarach



Kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa
w Żarach.

Praktycznie każdy znany mi kościół wybudowany przed II wojną światową posiada jakąś historię o tajemniczych tunelach, które mają prowadzić pod świątynią do innych budynków w mieście. W większości nie da się tych opowieści potwierdzić i kończą one na zawsze z etykietą „miejskich legend”. Wyobraźcie więc sobie, jaka była moja radość, gdy wśród zgłoszeń do książki znaleźliśmy kościół, w którym istnienie podziemnych tuneli okazało się faktem. Ich odkrycie to też historia na tyle „świeża”, że jeszcze nie do znalezienia w przewodnikach. Postanowiliśmy więc się tam wybrać i wszystko opisać.

„Ale historia! W żarskim muzeum odkopano zasypane przejście prowadzące do podziemia kościoła. Do czego służył tajemniczy tunel?” – na początku stycznia ubiegłego roku informowała „Gazeta Lubuska”. „O tajemniczym przejściu między Muzeum Pogranicza Śląsko-Łużyckiego a kościołem pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa wiedzieli wszyscy, którzy choć trochę interesowali się historią Żar. Mroźące krew w żyłach historie o tym, kto i dla kogo zbudował tajemniczy tunel, krążyły po mieście, ale nikt nigdy przejścia nie widział. Aż do dzisiaj”. Zachęceni nagłówkami i tym, że zaprosiła nas sama pani dr Anna Polak, która organizuje zwiedzanie żarskiej katedry, pojechaliśmy na miejsce.

Po przyjeździe do Żar Ola zakochała się w tym mieście. Trasa od dworca PKP przez rynek miejski do kościoła jest nie tylko schludna, ale bardzo urokliwa. Żonie podobało się,

że w niedzielę o 15:00, gdy przyjechaliśmy do Żar, w centrum miasta było cicho i spokojnie. Mnie jednak trochę przerażał fakt, że w niedzielę w środku dnia wiele lokali gastronomicznych jest zamkniętych. Mamy godzinę do spotkania w farze, więc jemy lody na rynku i robimy zdjęcia studni z Bazyliiskiem (gdzie poznajemy miejscową legendę o smoku, walecznym świętym Jerzym i wiedźminie Wochnerze). Podziwiamy piękne kamieniczki i detale architektoniczne. Urokliwie przyciągają nas wąskie boczne uliczki. W drodze do ratusza żona kładzie się na brukowanej drodze, by zrobić zdjęcia ażurowej kolorowej tkaniny, rozwieszanej między kamienicami w ramach 32. Międzynarodowych Plenerowych Spotkań ze Sztuką, odbywających się właśnie w mieście.

Po drodze wstępujemy też do ogrodu sensorycznego u zbiegu ulic Podwale i Ratuszowej – inwestycji wartej pół miliona złotych i sfinansowanej w całości z Funduszy Norweskich. W ogrodzie korzystamy z licznych urządzeń, które mają oszukać nasze zmysły wzroku, słuchu i dotyku. Jedno z urządzeń prezentuje nam, jak działa wielokrążek, pozwalając bez trudu podnosić ciężary. W innym miejscu kołyska Newtona tłumaczy zasady zachowania energii i pędu, odbijając taką samą liczbę kul, jakiej użyjemy do ich uderzenia. Wszystkiego można dotknąć i wypróbować. Warto wpaść.

Stajemy w końcu przed żarską „katedrą”, jak wciąż nazywają kościół liczni mieszkańcy. Jesteśmy zaskoczeni jej rozmiarem. Bryła budynku jest ogromna. W Systemie Informacji Przestrzennej możemy wyczytać, że powierzchnia obiektu to prawie 1600 m². Dla przykładu gorzowska katedra ma o 1/3 mniejszą powierzchnię. Wysokość fasady zachodniej i wieży też robi wrażenie. Jest to jeden z największych i najstarszych zabytków sakralnych w regionie lubuskim. W tym przypadku ma to znaczenie, gdyż tak okazały budynek kryje w sobie mnóstwo zakamarków z tajemnicami, które warto poznać.

W tym miejscu przypomnę, że Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa w Żarach jest obiektem sakralnym i jeśli wpadniemy jako turyści, nie róbmy tego w godzinach nabożeństw. Najlepiej sprawdzić na stronie parafii, kiedy odbywają się oficjalne wycieczki. Na szczęście parafia postanowiła wykorzystać potencjał tego miejsca i co miesiąc wielokrotnie organizowane jest zwiedzanie z przewodnikiem. Wystarczy wejść na stronę www.fara.zarynspj.pl i kliknąć zakładkę „zwiedzanie”. Zwiedzający przekazują „cegielki” na renowację świątyni. Również szkoły i przedszkola mogą umawiać się na zwiedzanie



Autor z przewodniczką, dr Anną Polak.

grupowe. Co więcej, mogą również umawiać się na przyjazd grupy turystów mówiących po niemiecku, angielsku czy włosku. Parafia postawiła na pełen profesjonalizm. Tyle kościołów w naszym kraju zwiedzałem „na dziko” ze względu na brak oficjalnie zorganizowanych wycieczek, że jestem w autentycznym szoku. Żary pokazują, jak to się robi. Organizowane przez parafię oficjalne zwiedzanie jest dostępne dopiero od maja tego roku, więc cieszę się, że mamy okazję je opisać. Kto odwiedzał żarską świątynię wcześniej bez przewodnika, nie miał okazji zobaczyć wszystkich zakamarków i usłyszeć niezwykłych historii, więc warto wybrać się ponownie.

Pani Anna przychodzi punktualnie i z całą masą materiałów, aby pokazać nam, jak zmienił się wygląd świątyni na przestrzeni lat. Otwiera dla nas wrota i stajemy w zachodniej kruchcie dobudowanej na początku XVI wieku z ciekawym sklepieniem sieciowym typu parlerskiego. Nie znam się na architekturze, ale potrafię docenić piękno tego na, co patrzę, więc reszty dowiaduję się od pani Anny i doczytuję w materiałach. Nad nami na zwornikach sklepienia odznaczają się gmerki cechowe, gdyż bractwa opiekowały się świątynią u jej zarania. Jeszcze nie weszliśmy do nawy, a już czekają na nas zagadki i tajemnice. Pod symbolami cechowymi spoglądamy na napis, częściowo w języku niemieckim, a częściowo po łacinie. Łacińska część zawiera chronogram. Jest to rodzaj łamięłkówki wykorzystującej fakt, że w alfabecie łacińskim litery I, V, X, L, C, D, M pełnią jednocześnie funkcję rzymskich cyfr. Można było w ten sposób, zapisując coś po łacinie, ukryć w tekście konkretną datę. Aby ją odczytać, należy zsumować wartości liczbowe liter będących jednocześnie cyframi. Dla ułatwienia te łacińskie litery były wyróżnione innym krojem, zostały powiększone i wyeksponowane, jak widać na zdjęciu.

Zanim przejdziemy do chronogramu w kruchcie kościoła, przeanalizujemy inny chronogram. Znajduje się on na tablicy na budynku muzeum, kilka kroków od świątyni. Tablica na muzeum zawiera inskrypcję o treści:

„ALtera LVX MaII nostras VastaVerat aeDes;

O pater, aeternas nos habltare VeLLIs!”

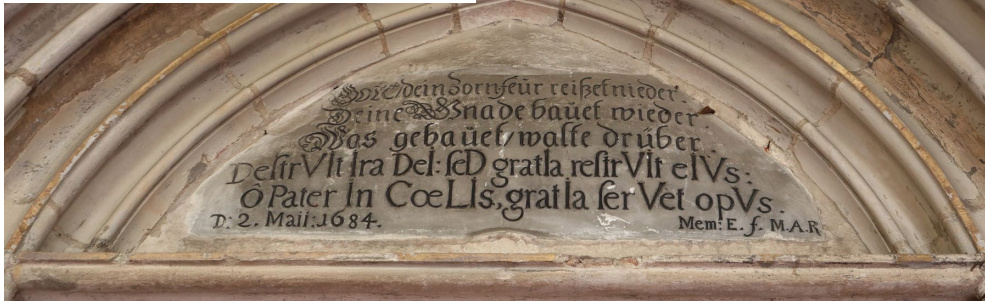
W tłumaczeniu: „Wrogie światło maja spustoszyło nasze domy, o Ojcze, zechciej abyśmy zamieszkiwali wieczne domostwa!”. Po odpowiednim złożeniu wyszczególnionych łacińskich liter (D = 500, L+L+L = 150, X = 10, V+V+V+V = 20, I+I+I+I = 4) otrzymujemy 1684. O czym informuje nas ta data? Tekst inskrypcji odnosi się do tragicznego w skutkach pożaru z 2 maja 1684 r., gdy zaproszony ogień pochłonął niemal całe miasto.

Wróćmy do kościoła i inskrypcji w zachodniej kruchcie. Jawna część tekstu brzmi: „Boże, twój ogień gniewu burzy. Twoja łaska odbudowuje. Panuj nad tym, co zbudowano. Gniew Boga burzy: lecz łaska jego odbudowuje: O Ojcze w niebie, niech łaska chroni dzieło. Dnia 2 maja: 1684. Ku pamięci: erylgował magister Abraham Rothe”.

Jak widzimy, inskrypcja odnosi się do tego samego wydarzenia, które było tak traumatyczne dla mieszkańców, że jego echa przewijają się w wielu miejscach miasta. A jaki rok możemy odkodować z chronogramu znajdującego się nad wejściem do kościelnej nawy w Żarach? Pozostawiam przyjemność rozszyfrowania tej zagadki czytelnikom. Posłuchcie się zdjęciem, weźcie pod uwagę wyróżnione, duże litery w łacińskim tekście. Pamiętajcie, że wartość niezbędnych Wam cyfr rzymskich wygląda następująco D = 500, C = 100, L = 50, V = 5, a I = 1 i że litera przypominająca nasze „f” o kształcie zagiętej w prawo laseczki to łacińskie „s”, jak w wyrazie „sed” („ale, lecz”) widocznym na inskrypcji i tej litery nie bierzemy pod uwagę w chronogramie. Powodzenia! Odpowiedź znajdziecie na końcu książki.



Inskrypcja w kruchcie zachodniej.
W części łacińskiej ukryty jest chronogram.
Czy potraficie go rozszyfrować?



Obecna gotycka żarska fara została wzniesiona na miejscu pierwotnej świątyni romańskiej, której początek datowany jest na pierwszą połowę XIII wieku. W bardzo wielu artykułach w Internecie możemy się spotkać z dokładną datą 1207 rok, ale Anna Polak zwraca uwagę na to, że wciąż żywa jest dyskusja na temat tego, do jakiej świątyni odnosi się ta historyczna wzmianka. Tę datę zamieścił w swojej pracy o historii Żar zmarły w 1707 roku Johann Samuel Magnus, łącząc ją właśnie z kościołem farnym, ale nie da się ze stuprocentową pewnością przypisać tej daty do obecnej fary. Częściowo zachowane fragmenty romańskiej budowli, najpewniej dawnej zakrystii, która prowadziła do poświęconego w 1309 roku prezbiterium, znajdują się obecnie w przybudówce po północnej stronie prezbiterium i będziemy mieli okazję je zobaczyć podczas naszej wycieczki. Już teraz możemy zaznaczyć, że robią niesamowite wrażenie.

Nadal stojąc przed wejściem do nawy głównej, Pani Anna zwraca nam uwagę na inną datę znajdującą się nad naszymi głowami. Ponad herbami fundatorów, rodami Packów i Bibersteinów, umieszczono rok 1401. Oła dwoi się i troi, żeby uchwycić go na fotografii, ale nie jest w stanie sfotografować napisu znajdującego się tuż pod sufitem. To kolejna ważna data związana z powstawaniem obecnej świątyni. W 1401 r. ukończono nową nawę główną, przesklepioną do 1430 r., do której właśnie wchodzimy.

Nawa główna jest bardzo obszerna, również wewnątrz widać wielką kubaturę budowli. Potężne kolumny i wysokie witraże, które wpuszczają do wewnątrz dużo światła, to pierwsze, co wpada w oko. Pięknie prezentują się rzeźby apostołów na bocznych ścianach. Zanim pójdziemy dalej, zatrzymujemy się przed tablicą w bocznej kruchcie przy obecnej zakrystii (dawnej kaplicy). Informuje nas o tym, że w tym miejscu pochowano całą rodzinę: ojca, syna i córkę. Nasza przewodniczka tłumaczy, że najpewniej są pochowani pod posadzką, tuż pod naszymi stopami, w reprezentacyjnym miejscu, przy jednym z wejść do kościoła. To epitafium Johannesesa Friedericha Conradi – superintendenta, asesora, konsystorza, inspektora i pierwszego pastora oraz jego dzieci. Oznacza to, że mimo iż w świątyni funkcjo-



Sklepienie kaplicy Promnitzów.



Bóg Ojciec górzący na sklepieniu kaplicy Promnitzów.



Przepiękna sztukateria w kaplicy Promnitzów.



nowały dwie krypty, zaniejszych mieszkańców chowano również w innych miejscach. Pani Ania zabiera nas na jedyną zachowaną empore, byśmy mogli lepiej ocenić całość świątyni. Ola robi kilka zdjęć organom z lat osiemdziesiątych (umieszczonym w szafie z XIX wieku) oraz obrazom drogi krzyżowej wokół nawy z tego samego okresu. Całość wygląda bardzo nowocześnie, a nam zależy jednak na tym, co zachowało się w kościele z dużo dawniejszych czasów. Aby to zobaczyć, musimy trochę pospacerować.

Schodzimy na dół i wchodzimy teraz do perełki tego miejsca. Obiektu, który powinien zostać odrestaurowany i stać się gwiazdą lubuskiej turystyki historyczno-architektonicznej – Kaplicy Promnitzów, usytuowanej tuż obok ołtarza. Wybudowana w latach 1670-1672 r. zachwyca bogactwem sztukaterii i malowideł Jacoba Joachima Vogla. Barokowy przepych, z jakim wybudowano kaplicę, niesamowicie kontrastuje z gotycką surowością reszty świątyni. Kaplica jest przepiękna. Zarówno mnie, jak i żonie, usta otwierają się szeroko z podziwu. Ola zaciera ręce i przyjmuje najdziwniejsze pozy, byle uchwycić na zdjęciu wszystko, co się da. Sklepienie kaplicy zdobią malowidła ze scenami biblijnymi; chrztem w Jordanie, ukrzyżowaniem, złożeniem do grobu, wniebowstąpieniem. W centralnym punkcie nad wszystkim góruje wizerunek Boga Ojca. Zewsząd otaczają nas rzeźbione anioły. Nad wejściem umieszczono również motyw memento mori – rzeźbioną czaszkę z piszczelami.

Przed wejściem od strony nawy głównej widzimy ozdobny kartusz z tablicą fundacyjną kaplicy i bogatym herbem rodziny Promnitzów (w odmianie przysługującej hrabiom von Promnitz, którym to tytułem cieszyli się od 1692 r.). W polu tarczy sercowej podstawowy herb rodziny, czyli strzała z dwiema gwiazdami, natomiast na większej tarczy umieszczone zostały dwa kroczące lwy i dwa skosy. W klejnocie herbu, po jednej stronie wspięty lew, po drugiej rumak, a po środku pies (dog angielski) pod trzema rzeźbionymi piórami ptasimi. Rzeźby i malowidła są przepiękne. Bardzo potrzebują jednak funduszy na odrestaurowanie. Ściany pękają, a niektóre z fresków nie są już czytelne.



Herb hrabiowski Promnitzów.

Romańskie pozostałości najpewniej zakrystii z około 1309 r.



Z żoną zastanawiamy się, czy jedno z malowideł na portalu, przez który wchodzimy do kaplicy, ukazuje Mojżesza w koszyku płynącego korytem Nilu. Zdaje się, że na samej górze, na największych malowidłach, podziwiać możemy historię Jezusa, a im niżej i im mniejsze malowidła, tym bardziej cofamy się w czasach biblijnych. Mniejsze obrazy ukazują starotestamentowe historie i one borykają się z największymi zniszczeniami.

W pewnym momencie nasza przewodniczka szybkim ruchem podnosi róg dywanu spoczywającego na posadzce. Pokazuje nam, gdzie znajdowało się wejście do krypty grobowej rodziny Promnitzów, dziś zabetonowane. W samym kościele są dwie krypty. Do jednej z nich dziś wejdziemy inną drogą i jest to ostatnia taka okazja. Lada dzień mają zacząć się prace antropologiczne związane ze szczątkami, które znajdowały się w tym miejscu, dlatego krypta będzie zamknięta na czas tych prac. Mają zostać zbadane i pochowane ponownie w pomieszczeniu, które później pokaże nam nasza przewodniczka. Wychodzimy z kaplicy, a kilka kroków dalej czekają na nas kolejne cuda.

Wchodzimy do przybudówki po północnej stronie prezbiterium. Czeka nas teraz najdalsza podróż w czasie. Naszym oczom ukazuje się ogromny fragment zachowanego kościoła, najpewniej z końca XIII lub początku XIV wieku. Czytając o relikwach, spodziewaliśmy się kilku niewielkich pozostałości po pierwotnej świątyni, a przed nami jest cały fragment ściany zachowanej budowli z romańskich cegieł. Co więcej, można nawet wejść do środka budowli. Brak oświetlenia działa na początku klaustrofobicznie, ale potem tworzy magiczny klimat. Korzystając z oświetlenia punktowego (w istocie chodzi o latarkę w telefonie naszej przewodniczki ;-)), Ola tworzy niezwykle zdjęcia. Cienie rzucane przez drewniany krzyż, czy nawet średniowieczna forma do cegieł, wyglądają w tym ujęciu niesamowicie.

Gdy cofamy się tak daleko w przeszłość, pojawia się więcej pytań niż odpowiedzi. Jaką część dawnego kościoła stanowi zachowany fragment? Jaka była jego funkcja? W niektórych opracowaniach mówi się o tym miejscu jako o zakrystii w nowym, wzniesionym na miejscu romańskiego, kościele. Zachowane łuki portali, piękne główki i rzeźby wspornikowe mogą sugerować, że fragment ten był jednak zewnętrznym korpusem kościoła. Może wejściem? W Żarskiej farze czeka na nas wiele tajemnic.

Wnętrze pozostałości najprawdopodobniej nowej zakrystii. Po prawej oryginalna forma do wyrobu romańskich cegieł.



Rzeźba wspornikowa.
Detal na pozostałościach najprawdopodobniej nowej zakrystii przy prezbiterium poświęconym w 1309 roku.

Te wyjątkowo stare fragmenty kościoła nie są jednak bezpieczne. Przybudówka, która miała chronić cenny zabytek (przed jej wybudowaniem ten fragment kościoła znajdował się wszak na zewnątrz budowli, co narażało go na wszystkie niszczące czynniki atmosferyczne) może paradoksalnie stanowić dla niego zagrożenie. Betonowy strop z lat 70., który chronił pozostałości po dawnej budowli, dziś naciska na nie, niebezpiecznie opierając się na XIII wiecznych ceglach. Konieczne jest podjęcie działań celem zabezpieczenia zabytku, aby mogli cieszyć się nim kolejni podróżnicy. Widać, że relikty dawnego kościoła nie są jeszcze w pełni przystosowane do zwiedzania. Pani Anna Polak jednak potrafi „wycisnąć” z każdego miejsca świątyni, co się da, aby zachwycić zwiedzających. Wie, jak wykorzystać to, co kościół ma do zaoferowania. Potrzeba nakładów finansowych, które pozwolą w pełni wykorzystać potencjał tego miejsca i zachować je dla kolejnych pokoleń.



Przybudówka z lat 70.

Zanim wejdziemy do następnego pomieszczenia, pani Ania pokazuje nam niewielkie otwory w posadzce nawy głównej. Tak zaczyna się opowieść o tunelach. Jak się okazuje, tunele budowano dwukrotnie. Podczas przebudowy kościoła w latach 1912-1913 wprowadzono w świątyni nowinkę technologiczną – centralne ogrzewanie. Kotłownia, na którą składały się trzy ogromne piece, znajdowała się w budynku dawnej Intendentury, gdzie mieści się teraz Muzeum Pogranicza Śląsko-Lużyckiego. Aby doprowadzić i rozprowadzić ciepło w świątyni, wykonano sieć niewielkich kanałów pod posadzką oraz dużo większy tunel techniczny łączący kościół z obecnym muzeum.

To właśnie o tym kanale technicznym krzyczały nagłówki „Gazety Lubuskiej”. Gdy nie było znane jego przeznaczenie, powstawały fantastyczne teorie, w których łączono tunel z działaniami wojennymi albo lokowano jego powstanie po wojnie. Wszystkim tym pomysłom stanowczo zaprzecza pani Anna. Badania endoskopowe kanałów w nawie głównej kościoła prowadziła nasza przewodniczka, pani dr Anna Polak, z dr. Pawłem Karpem. Te otworki w posadzce, na które wskazywała nasza przewodniczka, zostały wykorzystane do wprowadzenia endoskopu w trakcie badań, aby przyjrzeć się podziemnym kanałom. Trudno było na początku stwierdzić, do czego służyły te niewielkie tunele. Wyjaśnienie przyniosły stare mapy. Poszukiwane przez Panią Annę plany z 1912 r. ukazywały tunel techniczny łączący kotłownię z kościołem. Tajemnicze przejście okazało się technologiczną nowinką, zapewniającą komfort wiernym. Ogrzewanie działało przez 33 lata, do okresu powojen-



Fragmenty uratowanych tablic epitafijnych.

nego. Potem jednak pojawiły się nowe tunele, ale o tym opowiemy w dalszej części.

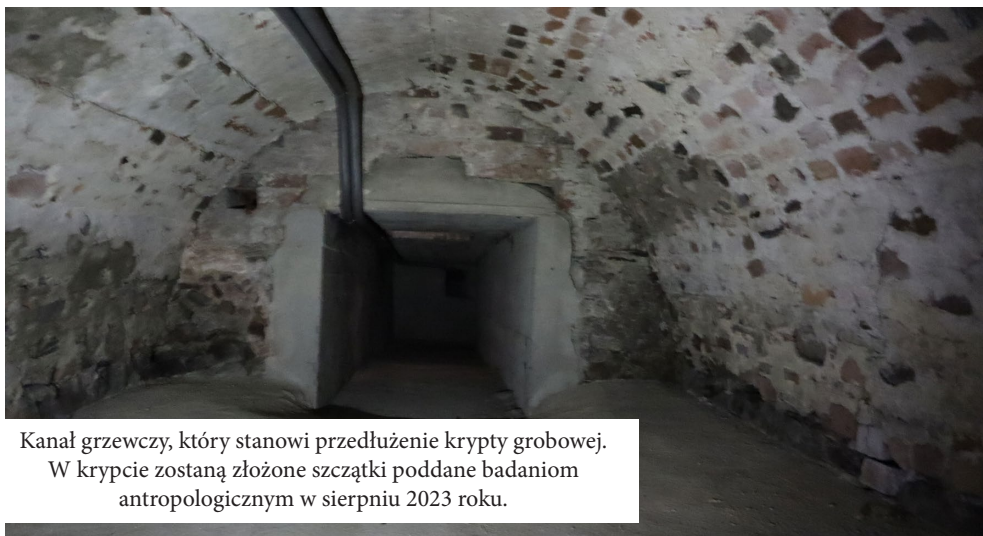
Kierujemy się do kolejnych bocznych drzwi, gdzie czekają na nas zabytki i wciągające historie. Zanim wejdziemy do krypty grobowej, nasza przewodniczka pokazuje nam szereg tablic z inskrypcjami epitafijnymi, które zgromadzono w tym pomieszczeniu. Na pytanie, skąd się tu wzięły, odpowiada, że zostały uratowane kilka lat temu podczas remontu drogi (wcześniej uznano je za zaginione). Ku naszemu zaskoczeniu Pani Ania opowiada, że posłużyły do wyrównania ulicy. Tak zaczyna się opowieść o ludzkiej naturze. Otóż, o ile przyzwyczajeni byliśmy do przerażających opowieści o powojennym wykorzystywaniu mienia pożywowego do działań gospodarczych (nagrobków używano do utwardzania dróg, czy budowy obiektów gospodarczych), o tyle nie mieliśmy pojęcia, że nie oszczędzano również świątyń chrześcijańskich. Szabrownicy zniszczyli i ukradli bezcenne wyposażenie żarskiego kościoła. Ukradziono epitafia, rozebrano łóżę kolatorską, ołtarz, ambonę. Już po wojnie zniknęły nawet sarkofagi z krypt grobowych! Epitafia znajdują się przy remoncie dróg, a co cenniejsze obiekty, które można łatwo sprzedać, na międzynarodowych aukcjach (dzban liturgiczny z pozłacanego srebra podarowany kościołowi w Żarach w 1643 roku został sprzedany na monachijskiej aukcji w 2021 roku).

Jedną z tablic odsłoniła Pani Anna wspólnie z dr. Pawłem Karpem, gdyż wmurowana w ścianę była zasłonięta ciężką szafą. Choć wiadano o jej istnieniu, to nikt nie wiedział, jaki tekst zawiera. Po odsłonięciu tablicy dwa lata temu okazało się, że ufundował ją w 1582 r. Johann Kretschmer ku czci swoich czterech kolejnych żon, z którymi doczekał się trzynastorga dzieci. Co ciekawe i bardzo rzadkie, niemiecki tekst na tablicy jest w większości rymowany. Dzięki takiemu ukryciu tablica zachowała się w świetnym stanie. Jest jedną z najstarszych płyt w kościele, a w samym tekście zachowano miejsce na wpisanie daty zgonu fundatora, jednak nigdy go nie uzupełniono. Ola robi kilka zdjęć epitafiom, a my z panią Anną wchodzimy do krypty grobowej.

Na wejściu wita nas głęboki tunel i spuszczone w jego głąb drabina. Tutaj kontynuujemy naszą opowieść o tunelach. Sarkofagi, jak wspomnieliśmy, „zniknęły” z krypt grobowych. W latach 70. postanowiono więc zaadaptować kryptę, w której się znaleźliśmy, na pomieszczenie grzewcze (jak widzimy, głównym problemem w starych kościołach jest konieczność



Kanał grzewczy z XX wieku.



Kanał grzewczy, który stanowi przedłużenie krypty grobowej.
W krypcie zostaną złożone szczątki poddane badaniom antropologicznym w sierpniu 2023 roku.

ich ogrzewania. Biorąc pod uwagę chłód, który bije od kamiennych ścian, nie dziwi to, że wiele tuneli można łączyć z pomysłami na ogrzanie świątyni. Do dziś firmy sprzedające systemy grzewcze mają specjalne oferty właśnie dla kościołów). Przedłużono kryptę o kilkanaście metrów, tworząc kanał grzewczy i podwyższono posadzkę, przez co trzeba się tam dziś schylać. Drugi kanał grzewczy znajduje się pod posadzką i prowadzi do niego właśnie otwór z drabiną, które witają nas na wejściu do krypty. Podziemny tunel ciągnie się przez niemalże całą świątynię, kończąc się przy głównym wejściu. Są śmiałkowie, którzy przeszli całą tę drogę pod posadzką kościoła, ale raczej nie wypróbujemy tego podczas zwiedzania. Tunel przebiegający pod podłogą pozwalał na rozprowadzanie ciepła wytwarzanego przez elektryczną dmuchawę. Ostatecznie elementy tego systemu rozmontowano w 2022 r. To tutaj spoczną szczątki wydobyte z krypt.

Przed opuszczeniem kościoła stajemy jeszcze u podstawy wieży, gdzie Ola robi świetne zdjęcia. Sama droga na poziom wieży, gdzie zawieszony jest dzwon, składająca się ze 171 stopni, musi poczekać na prace adaptacyjne, aby być udostępniana do zwiedzania. Nie możemy się tego doczekać, gdyż właśnie podstawa wieży – jej południowa część, to pozostałości najstarszej, pierwszej świątyni. Na tym nie kończymy naszej wycieczki. Obchodzimy jeszcze dookoła całą bryłę kościoła. Na zewnątrz też jest, co podziwiać. W zewnętrzny korpus wmurowano całą masę tablic epitafijnych i inskrypcji. Doczekały się one własnego opracowania. Na najstarszej, z 1514 r., widnieje jedynie kielich ofiarny z łacińskimi napisami wokół. Jej ascetyczny wygląd w porównaniu do pozostałych bogato zdobionych płyt nadaje jej tajemniczości.

Dołącza do nas pan Artur, którego nasza przewodniczka przedstawia jako „naszego fotografa”. Artur ma na szyi aparat i szaleje na punkcie lokalnej historii. Co chwila dorzuca coś od siebie na temat kościoła. Przyjemnie jest widzieć, że mieszkańcy doceniają to miejsce. Przed biegiem w stronę dworca PKP mamy jeszcze szansę uścisnąć rękę panu dr. Pawłowi Karpowi. Za chwilę z panią Anną zaczną oprowadzanie grupy w ramach oficjalnego zwiedzania. Spędziliśmy w żarskiej farze dwie godziny, a jeszcze nie zobaczyliśmy wszystkiego (fascynujące są również budynki wokół katedry, także należące do parafii, o których Pani Ania już nie zdąży nam opowiedzieć). Gdy odchodzimy, Ola rzuca jeszcze, że jest zaskoczona. Była przekonana, że nie będzie to ciekawe miejsce, wszak to tylko kolejny kościół. Po wizycie zaś stwierdza, że to najfajniejszy obiekt, jaki do tej pory widziała.



Najstarsza z tablic na zewnętrznym korpusie kościoła.

Przy pracy nad tym rozdziałem, poza tym, co zobaczyłem i usłyszałem na miejscu, wykorzystałem książkę dr Anny Polak i dra Pawła Karpa: „Kościoły i ich wyposażenie na terenie miasta oraz gminy Żary” oraz artykuły autorstwa ww.: „Kaplice, krypty, tunele i nieznanne inskrypcje, czyli żarski zakątek tajemnic” oraz „W świecie chronogramów, dzwonów i krypt, czyli żarski zakątek tajemnic” opublikowane w czasopiśmie „Pro Libris”.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Wyruszyliśmy z północnej stolicy województwa, czyli z Gorzowa Wielkopolskiego. Nie znajdziemy bezpośrednich połączeń komunikacją publiczną z Żarami, ale wystarczy udać się z Gorzowa do drugiej stolicy Lubuskiego, czyli Zielonej Góry (dokąd znajdziemy sporo połączeń w ciągu całego dnia, zarówno autobusowych, jak i kolejowych), aby pociągiem móc udać się stamtąd do Żar. Z Zielonej Góry do Żar podróż koleją zajmuje godzinę, a pociągi odjeżdżają co godzinę. Czekają nas przy tym sporo przystanków, bo pociąg zatrzymuje się praktycznie przy każdej wiosce mijanej po drodze, czasem nawet co kilka minut. Miniemy, m.in. Nowogród, do którego zawitaliśmy przy okazji zwiedzania kompleksu w Krzystkowicach. Aby z dworca dostać się do miasta, musimy wejść do budynku i przejść przejściem podziemnym. My przez kilka minut próbowaliśmy znaleźć zejście ze wzniesienia, na którym ulokowano dworzec, nie mając pojęcia o przejściu podziemnym znajdującym się wewnątrz budynku dworca. Po Żarach poruszamy się spacerem. Wszystkie ciekawsze obiekty są bardzo blisko siebie, a żal byłoby nie zagubić się w wąskich uliczkach rynku.

O odpoczynku w chmurach

Zielonogórski Sky Park



Na terenie placu zadbano o zieleni.

Podróżując z dziećmi, poszukujemy, m.in. miejsc do zabawy. Choć nie mamy dzieci i nawet planów w tym zakresie, to postanowiliśmy uwzględnić w naszym przewodniku również potrzeby rodzin z małymi dziećmi. Wśród zgłoszeń, które przeglądamy, znajdujemy więc plac zabaw. Zignorowalibyśmy to zgłoszenie, bo wszak placów zabaw jest mnóstwo i co w nich ciekawego. Po lekturze zgłoszenia okazuje się jednak, że mamy do czynienia z obiektem niezwykłym. Do tego otwartym zaledwie przed miesiącem, a więc takim, o którym nie wspominają starsze przewodniki. Plac zabaw i rekreacji Sky Park w Zielonej Górze to wyjątkowy na skalę krajową przykład wykorzystania przestrzeni miejskiej. Jedziemy tam.

Wraz ze wzrostem liczby mieszkańców, nasilony rozwój przestrzeni miejskich zaczął zagrażać zrównoważonemu funkcjonowaniu miast. Przestrzeń nie jest z gumy. Ludzi przybywa, a miejsca w ścisłym centrum nie. Jednocześnie zurbanizowanie ścisłego centrum miast, wzrost cen gruntów i wykorzystywanie każdej wolnej przestrzeni powodują urbanistyczny, architektoniczny chaos. W tej sytuacji szuka się sposobów na zagospodarowanie nowych przestrzeni. Jednym z pomysłów, który święci triumfy za granicą, jest wykorzystanie dachów. Na dachach i tarasach powstają parki i place zabaw. Pozwala to na wykorzystanie do cna powierzchni użytkowej budynków. Ma również ogromne znaczenie dla ekologii, w postaci tzw. zielonych dachów. Sadzenie krzewów i drzew na dachach, powstanie parków, tworzenie tam miejsc rekreacyjnych pozwala na wykorzystanie dodatkowej przestrzeni, której brakuje w centrach miast i która do tej pory zostawała niespożytkowana. Zielone dachy w miastach

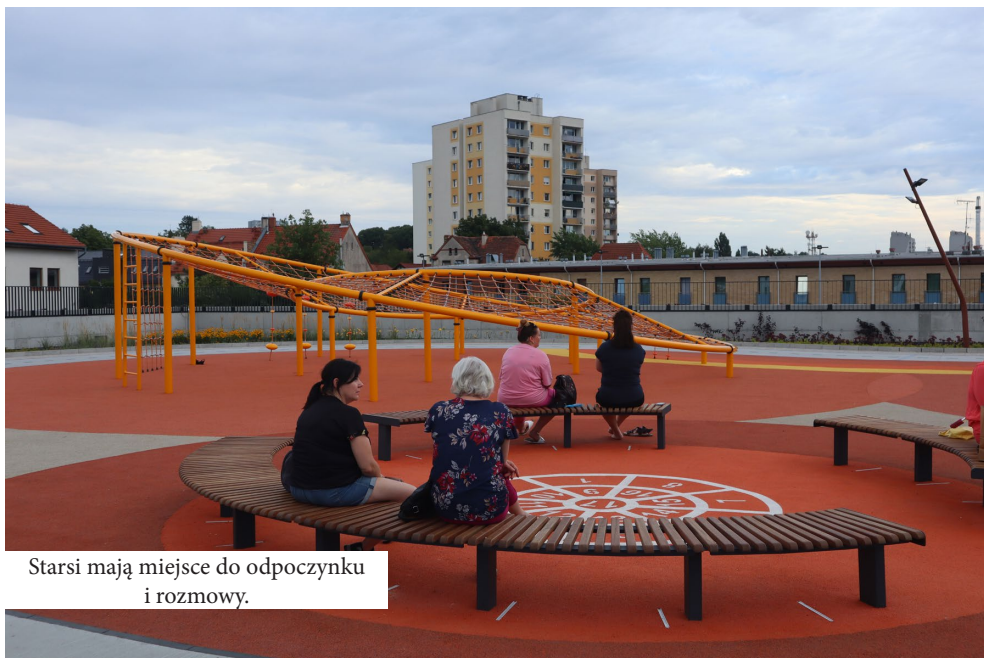


Autor i Hubert Fidali na „pająku”.

przejmują część funkcji terenów zielonych, pochłaniają dwutlenek węgla i wydzielają tlen. Zatrzymują też kurz i inne zanieczyszczenia oraz nawilżają powietrze. Pochłaniają hałasy i efektywnie wykorzystują budynki w celach rekreacyjnych. Zielone dachy stanowią również enklawę dla owadów i drobnych zwierząt, przez co pośrednio zwiększają bioróżnorodność. Bezużyteczny zwykły dach staje się użyteczną przestrzenią służącą zabawie i odpoczynkowi mieszkańców.

Nie ma zbyt wielu przykładów wykorzystania dachów na place zabaw w naszym kraju, choć za granicą znajdziemy ich sporo. Dlatego urzędnicy zielonogórskiego magistratu mogli powiedzieć dla portalu zielona.news.pl, że Sky Park „To wyjątkowy plac zabaw z uwagi na podniebną lokalizację, do której nawiązuje nazwa obiektu. Pierwszy taki w Zielonej Górze, prawdopodobnie jedyny w Polsce!”. Krótka kwerenda w Internecie potwierdza te górno-lotne słowa. Dwa dni przeszukiwania Internetu i znalazłem tylko dwa zbliżone przykłady, t.j. na dachu centrum handlowego Wrocławia we Wrocławiu, gdzie znajdziemy ogród z drzewami i krzewami, i placem zabaw dla dzieci. Plac zabaw to jednak za dużo powiedziane. Składają się na niego tylko trzy elementy, t.j. zjeżdżalnia, konstrukcja do wspinania przypominająca atomy i jedna kula pełniąca funkcję równoważni. Zdecydowanie niewielka przestrzeń, gdzie wielu mieszkańców nie wpadnie z dziećmi po wizycie w galerii. Nie do porównania z zielonogórskim Sky Parkiem. Drugi przykład to Galeria Północna w Warszawie. Na dachu funkcjonuje ogród i spory plac zabaw. Tutaj rzeczywiście byłoby co porównywać. Oba przykłady dotyczą prywatnych inwestycji, galerii handlowych. Przykładów takich terenów rekreacyjnych na dachu parkingu wielopoziomowego, inwestycji miejskich nie znalazłem. Być może Zielona Góra to rzeczywiście jedyny taki przykład w kraju.

Na miejscu umówiliśmy się z naszym przewodnikiem, Hubertem Fidali, zielonogórskim studentem. Hubert opowiada nam o miejscu, jego wadach i zaletach. Nie zamierza stać bezczynnie i wchodzi na plac, by pokazać nam niektóre z urządzeń. Pierwszą rzeczą, która dzieje się, gdy wchodzi z nim na teren placu zabaw, to uginają się pode mną nogi. Nie chodzi tutaj o reakcję emocjonalną, podłoże naprawdę staje się miękkie jak guma. Później dowiaduję się,



Starsi mają miejsce do odpoczynku i rozmowy.



Autor próbuje swoich sił w skoku w dal. Miękkie podłoże z poliuretanu chroni przed groźnym upadkiem.



Na Sky Parku można skorzystać z licznych urządzeń do zabawy i rekreacji.

że zgodnie z normami bezpieczeństwa, jeśli na placu zabaw znajdują się urządzenia, z których dziecko mogłoby spaść z wysokości co najmniej metra należy stosować specjalne podłoże. Do wyboru jest kilka opcji, od sypkich materiałów, jak piasek, po płyty gumowe. Na Sky Parku zastosowano tzw. nawierzchnię gumową wylewaną. Pozwala ona na tworzenie dowolnych kształtów podłoża i całej gamy kolorów. To widać, powierzchnia całego terenu jest kolorowa jak tęcza, a w części przeznaczony dla najmłodszych widzimy pokryte gumą zielone pagórki, na które można wejść. Gumowy podkład zapewnia amortyzację i bezpieczeństwo. Powierzchnia gumowa wylewana z granulatów SBR i EPDM jest wodoprzepuszczalna. Dzięki temu, jeśli postanowicie wpaść na plac zabaw po deszczu, nawet po ulewie, nie powinny tworzyć się kałuże, a wilgoć powinna szybko wyschnąć, umożliwiając zabawę.

Sky Park jest podzielony na dwie strefy: dla najmłodszych i dla starszych. Świetny pomysł, aby dwie grupy o różnych potrzebach nie wchodziły sobie w paradę. Strefy odpowiednio rozgraniczone, gdyż ta dla maluchów znajduje się na niższym poziomie, a dla starszych na wyższym. Teren jest bardzo kolorowy i zielony. W obu strefach sporo urządzeń dostosowanych do różnych grup wiekowych. Wielki pająk, na którego można się wspiąć po drabinkach, aby wylegiwać się na grubych linach, mnóstwo drabinek i urządzeń do wspinaczki, tor dla rolkarzy i hulajnogistów, którzy poczynali sobie śmiało podczas naszej wizyty (regulamin dopuszcza również wjeżdżanie na teren Sky Parku rowerami). Do tego bujaki dla młodszych, różnorodne urządzenia, na których można się obracać, skakać i wspiąć. Miejsca sporo dla każdego. Zdecydowanie młodzi nie będą mogli narzekać na nudę, a i starsi wykorzystywali plac do jazdy na hulajnogach, robienia wymyków i odmyków na drążkach, czy odpoczywania na pająku. Teren jest również objęty monitoringiem. Jeśli słyszymy frazę „plac zabaw na dachu” musi się nam włączyć lampka ostrzegawcza dotycząca zabezpieczenia obszaru. Aby nie zdarzyło się, że jakieś dziecko mogłoby spaść kilka pięter w dół na ulicę, całość jest ogrodzona betonową ścianą zwieńczoną wysokim metalowym płotem sięgającym naszemu przewodnikowi studentowi Hubertowi do szyi. Całość odgródzona jest od placu zabaw jeszcze pasem zieleni. Trzeba byłoby mocno się postarać by wpaść, a małemu dziecku zdecydowanie



Widok na plac z góry. Po lewej zielona część dla młodszych dzieci. Po prawej czerwona dla starszych. Zdjęcie z tarasu Palmiarni.

się to nie uda. Cała inwestycja w postaci parkingu na 414 miejsc i placu zabaw na dachu pochłonęła kwotę 35 milionów złotych, z czego prawie 16 milionów pochodziło z rządowej dotacji. Sporo pieniędzy, i to widać.

Patrząc od strony Palmiarni nie wydaje się, abyśmy znajdowali się wysoko ponad poziomem ulicy. To dlatego, że sama Palmiarnia stoi na wzgórzu i jest zrównana z poziomem Sky Parku. Jeśli jednak spojrzymy na lewo od Palmiarni, albo na widok naprzeciw rzeczywiście zyskujemy całkiem ładną panoramę miasta. Z poziomu placu zabaw możemy zobaczyć całą masę ciekawych budynków. Korzysta z tego Hubert i my. Wskazujemy sobie co ciekawsze obiekty, a Hubert opowiada nam na co właściwie patrzymy. Usytuowanie Sky Parku, „placu zabaw w chmurach”, jest rzeczywiście ogromnym atutem. No i rzecz jasna jego położenie zaledwie kilka kroków od Palmiarni, miejsca odwiedzanego przez każdego przyjeźdnego. Palmiarnia z jej egzotycznymi roślinami, wykwitną restauracją i świetną kawiarnią była, jednakże pozbawiona miejsca przeznaczonego dla najmłodszych. Teraz po wizycie w Palmiarni można wpaść ze znużonymi dziećmi, aby wyszalały się w Sky Parku.

O tej porze dnia w lecie (umówiliśmy się o 19:00) temperatura jest idealna do zabaw na świeżym powietrzu. Podczas naszej wizyty na Sky Parku bawi się kilkadziesiąt osób. Widzimy praktycznie każdą grupę wiekową. Dzieci dokazują na szeregu urządzeń zarówno na strefie dla najmłodszych, jak i dla starszych. Młodzież odpoczywa na wielkim „pająku”. Starsi okupują ławki, rozmawiając i czytając gazety. Hubert, jednak jest sceptyczny do tego, czy miejsce nadawałoby się do rekreacji w pełnym słońcu. Niewielkie drzewa i krzewy posadzone na placu nie dają cienia. Próżno też szukać jakiegoś zadaszenia. Radio Zielona Góra informuje przed otwarciem, że na placu ma się znajdować, m.in. „miejsce do wypoczynku z pergolą”. Obchodzimy cały plac w poszukiwaniu mitycznej pergoli, ale bez rezultatu. Zgodnie stwierdzamy, że postawienie jakiegoś daszku dającego cień byłoby dużym plusem. Nasz przewodnik mówi wręcz o „betonowej patelni”. Już chcieliśmy przyłączyć się do tego stwierdzenia, ale zdaliśmy sobie sprawę, że narzekanie w tej akurat materii nie wydaje się być do końca uzasadnione. Choć to książka o turystyce to nie da się uniknąć polityki, w szczególności, gdy sam nasz przewodnik do niej nawiązuje, wspominając o oddaniu tej inwestycji tuż przed wyborami. Prezydentowi Zielonej Góry oponenci w kontekście budowy parkingu wielopoziomowego w tym miejscu i placu zabaw na szczycie zarzucali „betonozę”. „Przy Palmiarni był wcześniej jeden wielki beton i 100 miejsc parkingowych. Jeśli teraz na ostatniej kondygnacji będą drzewa i plac zabaw, to chyba rozbetonowaliśmy tę część miasta, a nie odwrotnie. Gdybyśmy chcieli zabetonować, to zrobilibyśmy na ostatnim poziomie miejsce dla samochodów” – odpowiadał Prezydent Kubicki i trudno nie przyznać mu racji aku-



rat w tym przypadku. Na parkingu i wokół niego posadzono około czterech tysięcy roślin, w tym 50 drzew, z czego 12 na dachu, czyli na terenie Sky Parku. Posadzono brzozy wielopniowe, magnolie, buki i katalpy. Zielen jest widoczna, co widać na naszych zdjęciach, cieszy oczy, wygląda pięknie (dlatego moja żona, uwielbiająca roślinki, robi mnóstwo zdjęć kwiatom zamiast bawiącym się dzieciom), ale faktem jest, że przed skwarem nie chroni. Hubert żartuje sobie z karłowatych drzewek posadzonych w donicach. W rzeczywistości krzewy i drzewa są posadzone bezpośrednio w wysypanej ziemi, która zajmuje część placu. Rośliny są regularnie podlewane, o czym świadczy ich stan i szereg gumowych węży na ziemi. Nie można jednak powiedzieć, że przysypanie placu ziemią i posadzenie drzewek to dobra wola władarzy miasta walczących z betonozą. Zgodnie z rozporządzeniem Ministra Infrastruktury w sprawie warunków technicznych, jakim powinny odpowiadać budynki i ich usytuowanie, place zabaw dla dzieci i miejsca rekreacyjne dostępne dla osób niepełnosprawnych powinny w co najmniej 30% znajdować się na terenie biologicznie czynnym. Innymi słowy, miasto musiało zadbać o to, aby tworząc plac zabaw na dachu, przynajmniej 1/3 jego powierzchni była pokryta nawierzchnią ziemną, urządzoną w sposób zapewniający naturalną vegetację roślin. Chcę wierzyć, że posadzone drzewa będą rosnąć i dawać cień, ale nie mam pewności co do tego, czy podłoże wytrzymałoby napór ich korzeni. Widoczna na zdjęciach sadzonka brzozy wielopniowej (*Betula utilis*) może osiągać wysokość do 15 m i szerokość korony do 7 m. Czas pokaże. Na razie siedzimy na ławeczce, ciesząc się widokiem jej dekoracyjnej, śnieżnobiałej kory. W końcu Hubert namawia nas do wspięcia się z nim na „pajaka”. Młody student nie ma z tym problemu. Moja żona, która uwielbia ścianki wspinaczkowe, również czuje się jak ryba w wodzie. Dla spędzającego czas przy biurku trzydziestolatka, czyli mnie, wspinanie się po drabinkach i utrzymanie równowagi na linkach to już wyzwanie. Nie odpuszczam jednak i próbuję też swoich sił w skoku w dal na polu wyznaczonym



Za autorem jedyna w Polsce plantacja winorośli w centrum miasta.

na powierzchni placu. Musimy odnotować jeszcze jedną ważną informację. Mimo sporej liczby osób na placu w czasie naszej wizyty wcale nie jest głośno, co ogromnie nas cieszy. Wizyty na placu zabaw uznajemy za udaną.

Aby nie zostawiać ważnych kwestii nierozstrzygniętymi, na Sky Park udajemy się ponownie nazajutrz, tym razem bez Huberta. Robimy sobie spacer na miejsce w samo południe, lekko po 12:00, aby móc przekazać naszym czytelnikom, czy warto wybrać się na „betonową patelnię”. Skwar leje się z nieba. Na termometrach temperatura waha się dziś od 19 do 25 stopni Celsjusza. A na Sky Parku bawi się kilkanaścioro osób. Dzieci zdają się nie zauważać gorąca. Rodzicom jednak doskwiera. Ba, mijająca nas młoda mama używa wręcz dosłownie określenia „patelnia”. Jeśli jednak mimo takiego żaru rodzice z dziećmi przychodzą w to miejsce, to czy nie znaczy to, że jest to nadal bardzo atrakcyjny obiekt, w szczególności dla maluchów? Sky Park jest czynny przez długi czas, od 10:00 do 22:00. Robimy kilka zdjęć i żegnamy Sky Park.

Wczoraj wieczorem, wychodząc z placu zabaw, odwiedziliśmy jeszcze jedno niezwykle miejsce znajdujące się kilka kroków od Sky Parku. O ile plac zabaw jest wymarzonym miejscem dla dzieci, to teraz możemy polecić coś wyłącznie dla dorosłych. Niechaj dla każdego Zielona Góra zaproponuje coś miłego. Wychodząc z terenu Sky Parku skręcamy w lewo i schodzimy w dół. Naszym oczom ukazuje się niezwykle widok. Plantacja winorośli w samym centrum miasta. Z tego, co wiemy, jest to jedyna w Polsce uprawa winorośli w ścisłym centrum miasta. Winnica na Winnym Wzgórzu składa się z pięciu rewirów, w których rośnie aż 13 odmian winogron. Nie produkuje się z nich wina. Pełnią one funkcję pokazową. Jednak jeśli mamy ochotę na lokalne wino, to naprzeciwko plantacji, pod Palmiarnią, uruchomiono Piwniczkę Winiarską, w której można skosztować bogatą gamę win z lubuskich winnic. Nie omieszkaliśmy z żoną spróbować smaków lubuskiego, częstując się lampką białego Rieslinga z winnicy w Pszczewie. Wino zdobyło ZŁOTY MEDAL GRAND PRIX na Wino-braniu 2022 w Zielonej Górze i było przepyszne. Jeśli nie znacie się na winach i macie obawy, czy warto wpaść na romantyczny wieczór z drugą połówką, gorąco polecamy i spróbujcie Rieslinga. Lubuskie wina naprawdę robią robotę, a dla głodnych wiedzy polecam sprawdzić Lubuski Szlak Wina i Miodu. Zielonogórska Piwniczka Winiarska nie ma zbyt wielu miejsc siedzących (podczas naszej obecności wystawione były zaledwie trzy stoliki na świeżym powietrzu z widokiem na uprawę winorośli), ale goście wpadają, wypijają lampkę w miłym towarzystwie i odchodzą, więc z dużym prawdopodobieństwem znajdziecie miejsce dla siebie.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Wyruszyliśmy jak zwykle z Gorzowa Wielkopolskiego. Na szczęście połączenia kolejowe i autobusowe pomiędzy dwoma stolicami naszego województwa są całkiem niezłe, więc mogliśmy bezpośrednio, bez przesiadek znaleźć się na miejscu. Jedziemy więc pociągiem POLREGIO o 9 rano i dwie godziny później jesteśmy w Zielonej Górze. Poruszanie się po mieście to też łatwizna, m.in. dzięki świetnej decyzji o budowie kilka kroków od dworca PKP Centrum Przesiadkowego MZK. Możemy więc szybko przesiąść się z pociągu na komunikację miejską. Dobowy bilet MZK w strefie A (Miasto Zielona Góra) to 12 zł normalny i 6 zł ulgowy. Po mieście możemy się też poruszać rowerami miejskimi, które wypożyczymy ze stojaków w różnych częściach miasta (widzieliśmy, że mieszkańcy chętnie z nich korzystają), lub hulajnogami, których znajdziemy mnóstwo. My nocowaliśmy w Zielonej Górze ze względu na konieczność wyjazdu stamtąd do Żar i Nowogrodu, ale spokojnie może to być jednodniowy wypad. Powrotnych pociągów do naszego Gorzowa również nie brakuje, ale można też wrócić jak my busem prywatnego przewoźnika

O zagadce w głębi lasu

„Tańczące sosny” w okolicach wsi Bělce



Pani Marta Plawgo-Biernat, autor i wójt
Bojadół Krzysztof Gola.

Wyobraźcie sobie, że spacerujecie w głębi leśnych ostępów, zbieracie grzyby, może wołacie psa, który pobiegł daleko przed siebie. Goniąc za psem, trafiacie w miejsce znacząco różniące się od reszty lasu. Dziwne, tajemnicze. Rozglądacie się wokół i z każdej strony otaczają was drzewa poskręcane w najdziwniejsze kształty. Zdaje się, że żadne z nich nie chce rosnąć prosto w górę, jak Pan Bóg przykazał. Oto znajdujecie się w samym sercu nierozwiązanej po dzień dzisiejszy zagadki.

Jest ciepła końcówka września. Kierowcę autobusu pytamy o kierunek do Urzędu Gminy Bojadła, gdzie umówiliśmy się z Martą Plawgo-Biernat, pracowniczką sekretariatu (i jak się okaże, opiekunką miejscowego klubu seniora, członkinią Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych, odpowiedzialną za Centralną Ewidencję i Informację o Działalności Gospodarczej w gminie oraz pełniącą szereg innych funkcji, których już nie zapamiętam, a przy tym mocno zaangażowaną w promocję gminy, bo to pani Marta zgłosiła do przewodnika punkt, który musimy zobaczyć). Na miejscu okazuje się, że mamy szczęście. Po pierwsze, pani Marta ma poczucie humoru, a po drugie, naszym przewodnikiem będzie sam wójt Bojadół, Krzysztof Gola. Urząd dba o to, aby niewielka lubuska gmina była rozpoznawalna. Wykorzystuje przy tym swoje największe atuty, czyli przyrodę – lasy zajmują połowę powierzchni gminy i ze względu na ich niezwykłość są głównym powodem naszej wizyty, a także humor, dystans i całkowity brak urzędniczego nadęcia. Najsłynniejsza anegdota, jaką kojarzą wszyscy mieszkańcy Bojadół, to ta związana z ogłoszeniem w gazecie nadanym kilka lat temu przez lokalnego rolnika. Ponieważ płaciło się za każde słowo, liczyła się zwięzłość. Ogłoszenie brzmiało więc: „Sprzedam krowę Bojadła” i numer telefonu. Szyb-

ko zaczęto to sobie powtarzać ze śmiechem, jako „Sprzedam krowę, bo jadła”. Krowa i słynne hasło stały się więc nieodłącznymi elementami wykorzystywanymi w promocji. Czekając na wójta częstują nas w urzędzie krówkami z humorystycznym ogłoszeniem. Anegdota dawno już wyszła poza granicę Bojadeli i gdy tylko mówię znajomym, że wybieram się tam na wycieczkę słyszę opowieść o krowie, którą rolnik chce sprzedać „bo jadła”. Unikalna przyroda trafia zaś na pocztówki promujące gminę, które przeglądamy w pokoju socjalnym. Nie czekamy długo na wójta Bojadeli. W jego gabinecie uderza nas prostota i dwie rzeczy – herb na ścianie, wykonany przez dzieci z miejscowej szkoły i przepiękny kaflowy piec (niestety już nieużywany). Z panią Martą i wójtem Krzysztofem pakujemy się do jednego auta i ruszamy na zwiedzanie. Zanim trafimy do głównego celu naszej wizyty zatrzymujemy się dosłownie kilkaset metrów od urzędu. Przy głównej drodze za ostatnim budynkiem we wsi wchodzimy pomiędzy drzewa. Nie ma ich tutaj wiele, bo już po chwili naszym oczom ukazuje się zupełnie inny widok. Zupełnie pozbawiony drzew. Kilka kroków od ulicy i znaleźliśmy się w innym świecie. Wokół nas tylko piasek, jak na pustyni, lub nad morzem. Wspinamy się za wójtem na wysoki pagórek uformowany z luźnego piasku. Pan Krzysztof w ogóle nie przejmuje się eleganckim ubiorem i pierwszy zdobywa szczyt. Widać, że w naturze czuje się jak ryba w wodzie. Jest też człowiekiem niezwykle cichym. Praktycznie nie odzywa się niepytany przez nas. Kiedy zaś pytamy odpowiada ze znanstwem, pokazując nam okoliczne rośliny i opowiadając związane z nimi historie. Od pani Marty dowiemy się, że pracował wcześniej w nadleśnictwie, stąd to zamiłowanie do przyrody. Ola biega z aparatem, robiąc zdjęcia piaszczystych wydym. Tym właśnie jest to unikalne przyrodniczo miejsce – wydmy śródlądowymi. Wójt opowiada nam o tym, że powstało jakieś dziesięć tysięcy lat temu, na przełomie plejstocenu i holocenu, podczas ostatniego zlodowacenia. Znajduje się na terenie dawnych obniżen, które wypełniały w przeszłości wody topniejącego lodowca. To one naniósł tu ogromne ławice piasku. Potem wody ubywało, a wiatr usypywał z naniesionego piasku charakterystyczne wzniesienia. Oficjalna nazwa miejsca to Użytek ekologiczny „Cypel”. Istnieje kilka rodzajów wydym. Te w Bojadłach to wydmy paraboliczne, które powstają na terenach o nieco większej wilgotności, gdzie roślinność lub wilgoć podłoża unieruchamia ramiona wydym. Wiejące wia-



Gdy czekałem na żonę, wójt Bojadeli zdobywał już szczyt wydym śródlądowych.



Urzednicy w Bojadlach jak widać nie cierpią na zasiedzenie za biurkiem. Na szczycie wójt Krzysztof Gola.

try zachodnie uformowały tu wydmy w kształcie parabolicznym, u których otwarte strony łuków są skierowane na zachód, a wypukłość ku wschodowi. Od wewnętrznej części łuku (czyli od zachodu) wydma wznosi się łagodnie, by potem opaść w kierunku wschodnim. Wydmy w Bojadlach są świetnym miejscem, aby móc obserwować przyrodniczy proces nazywany sukcesją pierwotną. Sukcesja polega na zasiedlaniu przez organizmy żywe obszaru dotychczas pozbawionego pierwotnej roślinności, np. wskutek zlodowacenia. Sukcesja pierwotna jest bardzo powolna z powodu erozji (luźny i słabo ziarnisty piasek tworzący wydmy), czy małej zawartości substancji pokarmowych. W procesie sukcesji obserwować możemy etapy zasiedlania bojadelskich wydym. Na wydmy pierwsza wkroczyła pionierska roślinność, t.j. mchy i porosty, które widzimy dookoła w piasku, nadające temu miejscu obecnie niemalże stepowy charakter, potem roślinność zielona, krzewy i w końcu drzewa. Obecnie wydmy otoczone są lasem, borem sosnowym. Fajne miejsce na wyciszenie się, na spacer, ale również na piknik, o czym świadczą ślady ognisk na piasku. Na wydmy bez problemu trafimy spacerem z centrum wsi. Od skrzyżowania w centrum trzeba udać się w stronę pałacu i minąć go po lewej stronie. Następnie, idąc dalej, po prawej stronie minąć kościół i skręcić za nim w prawo. Dalej minąć - także po prawej stronie - Zespół Edukacyjny i kierować się prosto, w stronę cmentarza. Przed nim - po lewej stronie - zobaczymy piaszczyste pagórki.

Wracamy do auta i jedziemy w kierunku kolejnej przyrodniczej niezwykłości. Kierujemy się na wieś Bełcze. Naszym celem jest pomnik przyrody „Tańczące sosny”. Od Bojadł to około 6 kilometrów. 18 minut jazdy rowerem. Gmina Bojadła jest zaś świetnym miejscem na wycieczki rowerowe. Wójt zachęca nas abyśmy weszli na stron internetową www.sieczki.bojadla.pl. Gmina przygotowała coś niezwykłego. Dokładny opis trasy wycieczki rowerowej „Bojadelską Pętlą Północną” ze wskazaniem rodzaju drogi, jaki przyjdzie nam pokonać (droga asfaltowa, brukowa, betonowa, leśna, gruntowa wiejska, itp.), informacją o wysokości terenu, wszystkich podwyższeniach i dołkach, wykresem, z filmami i zdjęciami z trasy, a nawet jej widokiem 3D! Coś cudownego! Trasa ma długość 23,5 km i w jej trakcie będziemy mogli zobaczyć zarówno wydmy, jak i „Tańczące sosny”. Docieramy na miejsce. Zostawiamy auto przed wejściem na leśną ścieżkę i robimy sobie krótki spacer. U celu wita nas tablica informacyjna, a za nią drzewa. Niezwykłe drzewa. Na obszarze 3,36 ha widzimy setki sosen powykęcanych w najdziwniejszych pozach. Żadne z drzew nie rośnie prosto ku górze, ale zwija się, zakręca, zgina, w węzowe esy-floresy. Widok jest piorunujący. Wchodzimy

w ten bajkowy las, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że trafiłem na leśną dyskotekę, gdzie wiekowy starodrzew postanowił w końcu pokazać, że rośliny jak najbardziej są żywe i również się poruszają, ale czary skończyły się w pewnym momencie i pnie oraz korony drzew pozostały w takich niezwykłych kształtach ukazujących ich płąsy. Co więcej, przyczyna powstania tego niesamowitego skupiska anormalnych sosen pozostaje zagadką, o czym dowiadujemy się z tablicy informacyjnej. Trzeba zaznaczyć, że tego rodzaju tajemniczych deformacji drzew na terenie naszego kraju jest więcej. Najbardziej znany pozostaje Krzywy Las niedaleko Gryfina w województwie zachodniopomorskim. Podróżnikom śpieszę jednak wskazać, że „Tańczące sosny”, choć mniej znane od Krzywego Lasu, mają aż 10-krotnie większą powierzchnię. Ciekawy jest fakt, że tam, gdzie pojawiają się poskręcane w niezwykle formy drzewa, zwykle są to właśnie sosny. Jednym z wyjaśnień bywa, więc zarażenie drzew chorobą specyficzną dla tego gatunku – skrętakiem sosny. Wywołuje je grzyb *Melampsora populnea*. Zarodniki grzyba powodują porażenie pędu. W miejscu porażenia tkanka pędu zamiera, wygina się w dół, a następnie powyżej uszkodzenia wyprostowuje się, co prowadzi do powstania charakterystycznego zniekształcenia pnia. W wyniku infekcji powstają nekrozy i następuje zniekształcenie pędów sosny, utrzymujące się niekiedy przez całe życie drzewa. Jest to jedna z częściej występujących w Polsce chorób sosen w wieku 4–12 lat. Największy obszar zagrożony tą chorobą, liczący 10 tys. ha, odnotowano w 1962 r. Oglądam w Internecie zdjęcia sosen porażonych skrętakiem. Rzeczywiście przypominają to, co widzę, zanurzając się w bajkowy las. Chorobowej genezie zdaje się jednak przeczyć fakt, iż poskręcane w fantastyczne kształty sosny są otoczone przez zwyczajne drzewa tego samego gatunku – sosny zwyczajnej. Dlaczego porażenie nie dotknęło pozostałych drzew, skoro nie ma między nimi żadnej fizycznej bariery? Innym wyjaśnieniem, na które wskazuje tablica informacyjna, jest celowa ingerencja w proces wzrostu drzew. Z historii znane są przypadki specjalnego uszkodzenia i późniejszej hodowli krzywych drzew do specjalnych zastosowań np.: do budowy łodzi rybackich (krzywulce – elementy łączące dno łodzi z burtą), wielkich kadzi, poskręcanych elementów mebli, sprzętów gospodarstwa domowego, sań. Wiek sosen wskazywałby na to, że takie działanie zo-



„Tańczące sosny” są odpowiednio oznaczone i blisko głównej drogi. Nie można przeoczyć.





„Kiedy wjechali na wyniosłość drogi, oczom ich ukazał się las”. A był to las iście bajkowy.



stało tutaj podjęte przez niemieckich leśników w czasach jeszcze przedwojennych. Na celową ingerencję człowieka wskazywałoby to, iż deformacji poddano tylko ściśle wybrany fragment lasu, a drzewa poskręcane są w różnych kierunkach. Leśnicy mogli na przykład przycinać pień młodego drzewa i obcinać gałęzie tak, że zostawała tylko jedna rosnąca w bok. Z czasem zaczęła ona rosnąć do góry, zastępując pień. Dzisiaj teoria o tym, że to ludzie zakładali te niezwykle plantacje, wykorzystując plastyczność drzewnych pni i celowo prowadząc ich wzrost, gdy były jeszcze małe i młode, ma najwięcej zwolenników. Mówi się, jednakże też o przyczynach genetycznych, działaniu wiatru, wysokich temperatur a nawet wpływie lądowania UFO. Tajemnice zawsze rodzą kolejne zagadki i fantastyczne teorie. Podziwiamy przez dłuższy czas ten niezwykły cud w środku lasu. Każde z fantazyjnie poskręcanych drzew jest uformowane inaczej. Na tle otaczających ich prostych sosen ich niezwykły wygląd jeszcze bardziej rzuca się w oczy. Dla mnie są świadectwem przede wszystkim potęgi natury. Ich piękno sprawia, że wzbraniam się przed używaniem słowa „deformacje”. Bajkowy las lub „Tańczące sosny” lepiej oddają ich naturę. Kończymy naszą wycieczkę. Żegnamy się z cichym panem wójtem, który z ochotą został naszym przewodnikiem, i zabieganą panią Martą. Przed nami kolejne niezwykle miejsca, ale jeszcze w autobusie do następnej miejscowości rozmyślać będziemy o zagadce i tajemniczym pięknie tego lasu.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Do Bojadół przyjechaliśmy z Gorzowa Wielkopolskiego autobusem z godzinną przesiadką w Sulechowie. Na wydmy spokojnie dostaniecie się niewymagającym spacerem. „Tańczące sosny” od Bojadół dzieli około 6 km. Polecamy tutaj wycieczkę rowerową ze względu na świetnie oznaczone i przygotowane trasy rowerowe, a po drodze zobaczyć możecie jeszcze inne cuda, np. pomnik przyrody „Wiekowa sośnina”.

O tych, którzy zniknęli i o tym, co pozostało

Gorzowski Kirkut



Żydowski dom przedpogrzebowy z iglicami
w narożnikach.

Gdy zgładzona zostaje cała społeczność, tracimy też pamięć po tych, którzy zniknęli. Jedynym śladem po ich istnieniu są nieliczne materialne pozostałości. Z biegiem czasu, jednakże, i one przepadają, pozostawione bez opieki lub wręcz niszczone przez ludzką chciwość albo głupotę. W Gorzowie Wielkopolskim, do którego się dziś udajemy, „zniknął” cały naród, a teraz zatarta zostaje pamięć po nim. Śpieszmy się więc odwiedzić to unikalne miejsce, świadczące o tym, że była to kiedyś dużo bardziej różnorodna kraina.

Gorzów Wielkopolski to moje miasto. Tutaj mieszkam, więc tym razem wyjątkowo nie muszę pakować bagażu do pociągu czy autobusu. Wystarczy wsiąść do tramwaju. Ucieszyłem się, gdy otrzymaliśmy zgłoszenie gorzowskiego cmentarza żydowskiego, kirkutu, do naszego przewodnika. Jest bliskie memu sercu i mniej więcej raz w roku udaję się tam, aby zrobić zdjęcia dla portalu Wirtualny Sztetl. To miejsce magiczne, autentycznie jednak znikające z każdym rokiem. Śpieszmy się więc, aby je zobaczyć. Na miejsce pojechaliśmy w słoneczną niedzielę. Czekał tam już na nas Adrian Bujak, młody pracownik lokalnej skarbowki, którego również fascynują wszelkie mniejszości, egzotyczne wyznania i społeczności, które kiedyś nadawały kolorytu tym terenom, a dzisiaj w naszym monokulturowym kraju w większości przestały istnieć.

Przed wejściem na cmentarz zatrzymujemy się przy budynku z nieotynkowanej cegły stojącym przed bramą kirkutu, przy ul. Gwiazdzistej 24. Gdyby nie gwiazdy Dawida,

Wiele macew trzeba oczyścić z roślinności, aby móc je odczytać. Na zdjęciu autor z Adrianem Bujakiem.



które zdobią fryz biegnący pod linią dachu moglibyśmy przejść obok niego obojętnie. Nic dzisiaj, poza płaskorzeźbami z tarczą Dawida, nie wskazuje na jego niegdysiejsze kultowe znaczenie. Wybudowany w XIX wieku pełnił rolę domu przedpogrzebowego, w którym dokonywano rytualnych ablucji ciała przed jego złożeniem do grobu. Tutaj zaczynała się ostatnia droga członków gminy wyznaniowej żydowskiej w Landsbergu (nazwa Gorzowa do 1945 r.) i tutaj my też zaczynamy naszą podróż w czasie. Narożniki budynku zwieńczone są wieżyczkami, zakończonymi iglicą (jedna z nich już odpadła, a drugą rozsadza drzewko, które zakiełkowało w szczelinach cegieł). Ozdoby te swoją formą nawiązują do podobnych na nieistniejącej już gorzowskiej synagodze, w której narożnikach znajdowały się sterczyny, zwieńczone iglicami z gwiazdą Dawida. W czasie „Nocy Kryształowej” (9–10.09.1938 r.) oddziały Sturmabteilung podpaliły gorzowską synagogę. Wypalony budynek sprzedano w grudniu 1938 r. firmie C. Moritz. Bryła budynku stała nadal po wojnie. Pozostałości żydowskiej świątyni rozebrali już Polacy, po wojnie, w latach 50. XX wieku. Po rozebraniu synagogi kirkut został jedyną materialną pamiątką po Żydach zamieszkujących kiedyś to miasto. Sam dom przedpogrzebowy należy dziś do prywatnej firmy, która wykorzystuje go na pomieszczenia biurowe i nie pełni żadnych funkcji kultowych. Egzotyczne gwiazdy Dawida na fryzie niesamowicie kontrastują z jego obecnie świecką funkcją i wybudowanymi tutaj później pogierkowskimi blokami. Gdy Ola robi zdjęcia domu przedpogrzebowego z cmentarza wychodzi Adrian. Wita się z nami i od razu udajemy się w kierunku bramy cmentarnej. Brama zdobiona gwiazdami Dawida została postawiona współcześnie, w 1999 r., przy wykorzystaniu środków z unijnego programu PHARE i pomocy finansowej byłych niemieckich mieszkańców Gorzowa. Sama nekropolia jest piękna. Pełna wiekowych drzew i zieleni. Główna aleja obsadzona jest kasztanowcami. Dzięki ułokowaniu cmentarza na wzniesieniu morenowym ukształtowanym przez lodowiec przypomina tradycyjną dolinę Jozafata. Dolina Jozafata to miejsce, w którym znajduje się największy i najważniejszy z cmentarzy żydowskich, ułokowany w Izraelu na Górze Oliwnej. Groby leżą tu bowiem naprzeciwko miejsca, gdzie przed wiekami stała Świątynia Jerozolimska, nad Doliną Cedronu. Żydzi są przekonani, że jest to miejsce tożsame z biblijną Doliną Jozafata, a więc miejscem, gdzie odbędzie się Sąd Ostateczny. Z tego powodu od XVI wieku złożono tam olbrzymią liczbę zmarłych. Szacuje się, że jest to co najmniej



Większość macew jest dwujęzyczna, z jednej strony zapisana po hebrajsku, a z drugiej po niemiecku.

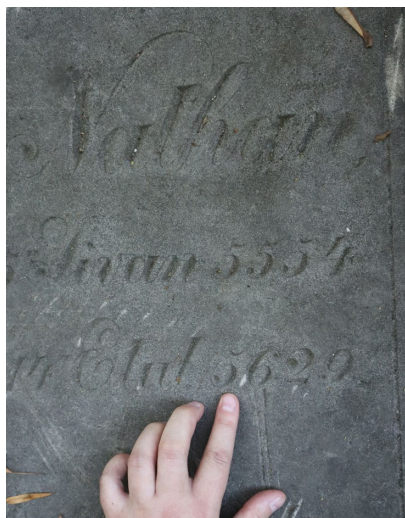
75 000 osób. Nekropolie żydowskie na całym świecie tradycyjnie zakłada się na wzniesieniach, aby przypominały dolinę Jozafata. Zanim przyjrzymy się bogato ornamentowanym nagrobkom pozwalamy sobie z Adrianem na chwilę zadumy przy pamiątkowej tablicy z napisem w trzech językach – „Świadkiem niech będzie ten kamień”. Jak inni pozostawiamy tam małe kamyki. Takie kamyki zobaczymy niejednokrotnie na szczycie ocalałych macew na gorzowskim kirkucie. Stanowią symbol pamięci o zmarłych, taki jak zapalenie zniczy w tradycji chrześcijańskiej. Możliwe, że zwyczaj ten pochodzi jeszcze z czasów, kiedy zwłoki grzebano na pustyni, a miejsce pochówku zabezpieczano przed dziką zwierzyną kamieniami. Judaizm uważa dobre uczynki kierowane wobec zmarłych, za najwyższą formę dobroci, spełnienie przykazania prawdziwego umiłowania (micwa hesel szed emet), bo nie istnieje najmniejsza nawet możliwość, aby ten, komu ją okazujemy, mógł nam za nią odplacić. Jest więc całkowicie bezinteresowna. Nawet nie uczestnicząc w czymś pogrzebie możemy oznaczyć żydowski pochówek kamieniem jako dowód pamięci wobec zmarłego. Widzimy też jednak wypalone znicze. Dowód na to, że mieszkańcy, katolicy, mimo, iż nie znają obcej im żydowskiej tradycji starają się szanować to miejsce na swój sposób, jako cmentarz.

Najstarsza wzmianka o nekropolii pochodzi z 1723 r. Jest to więc najstarszy zachowany cmentarz w mieście. XVIII wiek stanowiły dobry okres dla żydowskiej społeczności w Gorzowie. Gorzów stał się trzecim największym skupiskiem Żydów w Brandenburgii, po Frankfurcie nad Odrą i Berlinie. Kirkut zajmuje powierzchnię 0,72 hektara i zachowało się na nim kilkadziesiąt nagrobków. Muzeum Historii Żydów Polskich podaje, iż na gorzowskim kirkucie znajduje się 92 obramowań po grobach oraz 50 całych macew (pionowo ustawianych kamiennych płyt, stel) i 23 połamane. Do tego 10 okazałych grobowców zamożnych rodzin żydowskich przy murze okalającym cmentarz, zbudowanym w latach 1815-35. Po przyjrzeniu się bogato zdobionym grobowcom przy zachodnim murze cmentarza ruszamy pod górę wąwozu. Od razu rzuca się w oczy podział nekropolii na młodszą i starszą część. W młodszej części widzimy obramowania po nagrobkach ułożone równo, jeden przy drugim, jak na współczesnych cmentarzach. Tutaj nie zachowało się prawie nic poza otokami grobów. Wyżej zaś widać zachowane stojące macewy, porzucane nieco chaotycznie, bez wyraźnej koncentracji w określonym kierunku. To starsza, „dzika” i wizualnie piękniejsza część

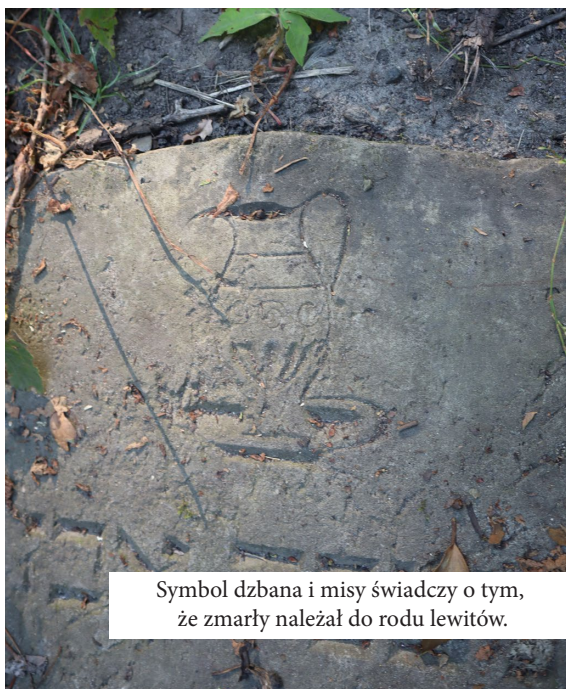


Macewy powoli znikają pokrywane roślinnością.

cmentarza. Paradoksalnie starsze nagrobki zachowały się dużo lepiej. Aby się im przyjrzeć musimy najpierw oczyścić je z zarośli. Roślinność przejmuje to miejsce, nagrobki znikają. Na stojących macewach widzimy, iż są opisane dwustronnie. Na jednej stronie po niemiecku, a na drugiej w jidysz alfabetem hebrajskim. Odcyfrowując zatarte przez czas napisy trafiamy na wiele ciekawych informacji. Niejednokrotnie niemieckie imiona i nazwiska świadczą o głębokiej asymilacji gorzowskich Żydów z chrześcijańską większością. Dаты śmierci w wielu miejscach również zapisywane są zgodnie z kalendarzem chrześcijańskim. Jedynie na jednej z macew, leżącej na ziemi i całej pokrytej roślinnością trafiliśmy na dowód innego sposobu mierzenia czasu. Z macewy Jonasa Nathana dowiadujemy się, że urodził się w 5554 r., a zmarł w 5629 r. Wynika to z tradycyjnego kalendarza żydowskiego, w którym czas liczony jest od stworzenia świata według Tory i zgodnie z którym mamy obecnie 5784 rok. Również ornamenty, które widzimy na wielu macewach dają nam szereg przydatnych informacji o zmarłym. Na jednej ze stel ukrytych pod gęstą roślinnością pokazują Adrianowi symbol dzbana stojącego na misie. Wskazuje on na to, że zmarły był lewitą. Mężczyźni pochodzący w linii męskiej od starotestamentowego plemienia Lewiego byli pomocnikami kapłanów. Posiadali nie tylko przywilej obmywania dłoni świętym mężom (stąd symbol dzbana i misy), ale również prawo czytania w synagodze kolejnych zwojów świętej Tory. Macewy zapisane alfabetem hebrajskim, pokryte gęstą roślinnością wyglądają pięknie, nadają temu miejscu egzotycznej, niezwyklej atmosfery. Adrian opowiada nam, że jesienią, gdy kasztanowce nabierają barw pokazał gorzowski kirkut swojej znajomej ze Szczecina w ramach wycieczki po mieście. Była zachwycona tym miejscem. Tym razem ja prowadzę Adriana w miejsce, które zachwyca mnie za każdym razem, gdy przychodzę na kirkut. Monumentalny stary dąb z pustym pniem stojący przy ogrodzeniu cmentarza. Drzewo jest ogromne, a jego pień jest pusty, w otworze przechodzącym na wylot może zmieścić się dorosły mężczyzna. Co najciekawsze w środku drzewa, w jego pień wrosła jedna z najstarszych macew na kirkucie. Na kolorowym kamieniu dostrzec można wyblakłe hebrajskie litery.



Z macewy Jonasa Nathana dowiadujemy się, że urodził się w 5554 r., a zmarł w 5629 r. Wynika to z tradycyjnego kalendarza żydowskiego, w którym czas liczony jest od stworzenia świata.



Symbol dzbana i misy świadczy o tym, że zmarły należał do rodu lewitów.



Jedna z najstarszych macew na kirkucie znajduje się w pniu wielkiego dębu.



Autor z Adrianem Bujakiem przy macewie wrośniętej w pień dębu.

Piękno nekropolii niszczą miejscowi wandale. Stopień uszkodzenia przez nich nagrobków jest miejscami dramatyczny. Najbardziej ucierpiało lapidarium (fragmenty płyt nagrobnych wmurowane w ogrodzenie cmentarza), które w całości pokryte zostało farbą w sprayu. Również grobowce możnych rodzin żydowskich pokrywa graffiti. Druga rzecz, którą możemy zauważyć to, że niektóre z fragmentów nagrobków są ułożone koncentrycznie – w kręgu. Nie jest to normalne. Zostały tam przeniesione, aby można było usiąść podczas wspólnego biesiadowania. Pomiędzy nimi można znaleźć butelki, papierosy i ślady ognia. Na drzewie rosnącym przy ogrodzeniu jeszcze na początku roku wisiał sznur, który spełniał funkcję huśtawki. Przyglądamy się z Adrianem pięknym hebrajskim macewom, które jakiś troglodyta postanowił zamalować sprayem, a ja opowiadałam młodemu pracownikowi skarbowki o tym, jak trafiła tutaj część macew znalezionych w 2016 roku podczas remontu ulicy Walczaka. Podczas prac budowlanych natrafiono na fragmenty starych płyt nagrobkowych. Część z nich nosiła napisy w języku niemieckim, część zaś w hebrajskim. Podczas drugiej wojny światowej naziści bardzo często dewastowali żydowskie cmentarze, wykorzystując płyty nagrobne (macewy) do utwardzania dróg. Proceder ten był powszechny na terenie Rzeszy. Smutnym, niewygodnym faktem jest też, że tysiące żydowskich nagrobków zostało zabranych z cmentarzy przez Polaków już w okresie powojennym i użytych jako materiał budowlany. Wciąż w wielu drogach w naszym kraju tkwią fragmenty macew. Podobnie postępowano po wojnie z fragmentami nagrobków poniemieckich. Istniało społeczne przyzwolenie na taki proceder, gdyż konieczna była odbudowa kraju, a nagrobki stanowiły łatwo dostępne źródło granitu, marmuru, ewentualnie wapienia lub piaskowca. Wszystko wskazuje na to, że nie inaczej było w Landsbergu/Gorzowie. Na drugi dzień po tym, jak dowiedziałem się o znalezisku podczas remontu drogi, napisałem do Wydziału Inwestycji i Remontów Dróg Urzędu Miasta Gorzowa Wielkopolskiego z prośbą o umożliwienie wykonania dokumentacji fotograficznej znalezionych fragmentów płyt nagrobkowych dla portalu Wirtualny Sztetl, upamiętniającego historię Żydów polskich. Tego samego dnia dostaję telefon. Przedstawicielka urzędu informuje mnie, że znalezionych fragmentów są tysiące, zwykle są bardzo małe i nieczytelne. Prawdopodobnie zostały pokruszone na potrzeby budowy. Trudno rozpoznać, które ze znalezionych fragmen-



Lapidarium z wmurowanych macew, pokryte graffiti.

to są żydowskie, a które ewangelickie. Poniemieckie płyty nagrobne zachowały się lepiej. Wojewódzki Konserwator Zabytków nakazał zebrać znalezione fragmenty. Miasto objęło znalezisko nadzorem archeologicznym. W opinii archeologów znalezione fragmenty nie są zabytkowe, więc przestają się nimi interesować. Skąd się tam wzięły? Moja rozmówczyni zakłada, że pochodzą z dawnego cmentarza ewangelickiego przy ulicy Walczaka (największy cmentarz ewangelicki w Landsbergu), który w PRL w latach 70. w ramach czynu społecznego zamieniono na Park Kopernika. Jego urządzenie (w dużej części w czynie społecznym przez pracowników ZWCh Stilon) trwało w latach 1972-1974. Mąż urzędniczki sam jako kilkunastolatek usuwał z cmentarza części nagrobków pod przyszły park. Być może część płyt nagrobnych została przewieziona nieopodal i użyta do utwardzenia drogi. Podobną historię słyszę od mężczyzny, którego spotykam następnego dnia na placu budowy. Taksówkarza z zawodu zainteresowało co robię w wykopie drogi. Gdy dowiedział się, że fotografuję znajdujące się tam fragmenty nagrobków, postanowił wyjaśnić mi, skąd się tam wzięły. Według mężczyzny płyty nagrobkowe pochodzą z byłej nekropolii na Wieprzycach, naprzeciw pętli tramwajowej. Skąd o tym wie? Jego krewny sam zwoził na miejsce budowy ulicy Walczaka płyty nagrobkowe z tamtego cmentarza. Ta rozmowa uświadomiła mi, że pamięć o pochodzeniu znalezionych elementów nagrobnych jest wciąż żywa u starszych mieszkańców Gorzowa. Oba wyjaśnienia nie tłumaczyły jednak obecności na placu budowy płyt z ornamentami i napisami hebrajskimi. Co więcej, kilka godzin po rozmowie z przedstawicielką Wydziału Inwestycji i Remontów Dróg dostaję drugi telefon od osoby, która przedstawia się jako „była kierowniczką referatu” w Urzędzie Miasta. Zaprzecza ona jakoby ustalono, że na miejscu budowy znaleziono fragmenty nagrobków żydowskich. Stopień zniszczenia znalezionych elementów uniemożliwia ich identyfikację i nie może potwierdzić, że zawierają one napisy w języku hebrajskim. Znalezione artefakty nie są zabytkowe, a na jednej z tablic znaleziono inskrypcję z roku 1936. Większość fragmentów jest nieczytelna, zniszczona i „starta na proch”, więc nie ma za bardzo czego fotografować, ale jeśli chcę skontaktuję się z kierownikiem budowy, by umożliwił mi wykonanie zdjęć (nikt z prowadzących budowę nie skontaktował się ze mną po tym telefonie). Rozmowa ta zbiła mnie z tropu, bo poprzednia rozmówczyni informowała, że jak najbardziej natrafiono na części macew i zostaną one złożone przez wolontariuszy Stowarzyszenia Wolontariat Gorzowski na kirkucie. Postanawiam ostatecznie za-



Miejscowa młodzież niestety wykorzystuje to odosobnione miejsce pamięci jako punkt towarzyskich spotkań.

dzwonić do archeologów, którzy mają sprawować nadzór nad znaleziskiem. Gorzowski archeolog informuje mnie, że faktycznie na miejscu budowy znaleziono wiele elementów płyt nagrobkowych, w tym żydowskich macew. Większość zachowanych fragmentów ma średnicę ok. 30-40 cm. Wszystko wskazuje na to, że macewy zostały przywiezione tutaj z cmentarza żydowskiego przy obecnej ul. Słonecznej i wykorzystane wtórnie do utwardzenia nawierzchni drogi publicznej. Inne możliwe, aczkolwiek mniej prawdopodobne pochodzenie macew to kirkut w obecnych Krzeszycach (całkowicie zniszczony, brak po nim jakiegokolwiek materialnego śladu). Używanie płyt nagrobkowych z cmentarzy żydowskich i ewangelickich do budowy dróg było zjawiskiem nagminnym i nie powinno dziwić, że w Gorzowie trafiliśmy na ślady tego procederu. Wynikało to ze społecznego przyzwolenia, jak i braku niezbędnych materiałów w czasie, gdy prowadzona była odbudowa naszego kraju po wojennych zniszczeniach. Nagrobki protestanckie na 99% pochodzą z byłego cmentarza w Parku Kopernika. Na jednej w całości zachowanej tablicy widnieje data śmierci wskazująca na lata trzydzieste XX wieku. Wykorzystanie nagrobków z żydowskich i poniemieckich cmentarzy jako materiału budowlanego było powszechnym zjawiskiem w czasie wojny i po wojnie. Jak tłumaczy Kulturoznawca Dr Maciej J. Dudziak z Akademii im. Jakuba z Paradyża: „Lata 60. i 70. XX wieku to całkowite przyzwolenie na zakończenie dewastacji cmentarzy przez niekontrolowany żywioł ludzki oraz natury, jak również planowe akcje „ostatecznego ścierania niemieckiego pokostu z naszych prapriastowskich ziem”. Podobnie ma się sytuacja z cmentarzami i synagogami na tym obszarze: nie faszyzm, lecz PRL i ludzie tego systemu postarali się o dewastację i ruinę tych obiektów.” Archeolog z gorzowskiego muzeum poinformował mnie, że fragmenty nagrobków na placu budowy ulicy Walczaka ciągną się od wysokości przedszkola do wjazdu do hotelu. Postanawiam udać się na miejsce i na własne oczy przekonać się, jak wygląda sprawa z zachowanymi elementami nagrobków. Teren wykopu nie jest zamknięty, więc zbliżając się do zagłębienia dość szybko wśród różnego rodzaju gruzu dostrzegam fragmenty zawierające napisy i płaskorzeźby. Pierwszy w oczy rzucił mi się kawałek nagrobka z niemieckim napisem „Gott”. Później natrafiłem na fragment macewy z zachowanymi literami alfabetu hebrajskiego. W niewielkiej odległości leżała zachowana w całości górna część macewy z elementem roślinnym, a kilka kroków od niej fragment nagrobka z całymi słowami zapisanymi

w hebrajszczyźnie. Co do ich żydowskiego pochodzenia nie może być wątpliwości. Biorąc pod uwagę fakt, iż ostatni znany pochówek na cmentarzu żydowskim w Gorzowie Wlkp. miał miejsce w 1936 r. znalezione fragmenty muszą mieć co najmniej 80 lat. W niewielkiej odległości od wykopu na placu budowy pracowała koparka. Za sobą pozostawiała równiutką ziemię. Miałem nadzieję, że podczas prac remontowych znalezione fragmenty nagrobków, które kiedyś posłużyły do budowy drogi rzeczywiście są zbierane w jedno miejsce, a nie zrównywane z gruntem po raz kolejny. Po wizycie na miejscu budowy zadzwoniłem do Wiesława Antosza, Prezesa Stowarzyszenia „Człowiek w Potrzebie - Wolontariat Gorzowski”, którego wolontariusze mieliby umieścić fragmenty znalezionych macew w lapidarium na gorzowskim kirkucie. Stowarzyszenie współpracowało z Fundacją Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego sprawując pieczę nad cmentarzem przy ul. Słonecznej. Antosz potwierdził, że przedstawiciel FODŻ kontaktował się z nim w sprawie znalezionych fragmentów nagrobków. Na spotkaniu roboczym w Urzędzie Miejskim ustalono, że odłamki macew będą składowane poza placem budowy i po jej zakończeniu firma budowlana przewiezie je na cmentarz, gdzie wolontariusze stowarzyszenia mieli umieścić je w murze okalającym kirkut, w lapidarium. Przyglądamy się teraz zachowanym fragmentom tych macew, pomstując na pozbawionego wyobraźni barbarzyńcę, który uznał, że płyty nagrobne są świetnym miejscem na graffiti. Adrian zwraca uwagę na to, że fascynuje go historyczne bogactwo kulturowe naszego regionu i porównuje gorzowski kirkut do tego w Skwierzynie, gdzie zachowało się najwięcej w Polsce stojących macew. Skwierzyński cmentarz, jak zauważa, nie jest tak zniszczony i zaniedbany jak gorzowski. „Nasz” ma jednak w sobie coś magicznego, ze względu na jego położenie na uboczu, piękne drzewa i te łagodne wzniesienie wąwozu.

Za murem cmentarza dzieciaki grają w piłkę. Znajduje się tam boisko miejscowej szkoły. Życie toczy się dalej, a uczniowie wolontariacko dbać mają o sprzątanie cmentarza. Od 2008 r. kirkut jest od pod opieką warszawskiej Fundacji Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego. W Polsce jest jednak ponad 1,2 tys. żydowskich cmentarzy, a gmin żydowskich tylko dziesięć. Nie są one w stanie na bieżąco zajmować się każdą nekropolią. Dlatego to nasz obowiązek. Tak nakazuje poczucie przyzwoitości. Żydzi zniknęli. Nie ma ich w naszych społecznościach przez przerażający akt ludobójstwa. Pamiętajmy o tych, którzy zniknęli i dbajmy o to, co pozostało.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Tym razem, jako gorzowianie, nie musieliśmy jechać do innej miejscowości. W samym zaś mieście zgodnie z naszą opisaną na wstępie zasadą poruszaliśmy się komunikacją miejską. Gorzów jest niezłe skomunikowany zarówno autobusami miejskimi, jak i tramwajami. Będąc w Gorzowie do kirkutu dojechać możemy tramwajem linii 1 lub 2 i wysiadając na przystanku Os. Słoneczne. Następnie krótki spacer w stronę Szkoły Podstawowej nr 6 (jak pamiętacie cmentarz znajduje się obok boiska szkolnego). Miejscowych lepiej pytać o szkołę przy ul. Gwiazdzistej niż żydowski cmentarz, bo często sami nie wiedzą o tym, iż w mieście znajduje się kirkut.

O kosmicznym zegarze

Sulechowski zegar azymutalny

„Co do czasu – to nie ufam i nie wierzę, jak tylko wielkim podziałom światła, które słońce mi wyznacza ciepłym cieniem jednego ze swych promieni na zegarze słonecznym, związanym z mechanizmem wszechświata, a nie z martwą i nic o czasie nie wiedzącą sprężyną zegara mechanicznego.”

(Maurice Maeterlinck, *Inteligencja kwiatów*)



Tomasz Rybarczyk z Urzędu Miejskiego w Sulechowie, nasz gospodarz – po lewej i autor – po prawej, na dworcu w Sulechowie, tuż po przyjeździe.

Podczas tej wycieczki poznamy tajemnice czasu. Przyjrzymy się największemu w Polsce i jednemu z najbardziej precyzyjnych zegarów na świecie. Jedziemy do Sulechowa.

W Sulechowie umówiliśmy się z Tomaszem Rybarczykiem, pracownikiem Urzędu Miejskiego Sulechów, który zgłosił nam niezwykley obiekt do przewodnika. Z Tomaszem spotykamy się już na dworcu PKP, skąd odprowadzi nas do miejskiego Parku Sulecha. Sulech, którego imieniem ochrzczono park, stał się leitmotivem promocji miasta. Sama strategia promocyjna jest bardzo spójna i z tą legendarną postacią spotkamy się niejednokrotnie podczas naszej wizyty w mieście. Na razie mijamy Park im. Powstańców Wielkopolskich i kierujemy się do Parku Miejskiego im. Tadeusza Kościuszki. W Sulechowie, jak widać, jest zielono, zmierzając do jednego parku, mijamy kilka innych. To nas cieszy, bo w miastach nie ma nic gorszego od betonozy. Spacerując przez Park Kościuszki, pan Tomasz wskazuje nam kilka budek wiszących na drzewach, zachęcając do zgadywania, dla jakiego gatunku są przeznaczone. Strzelamy nazwy wszystkich ptaków, jakie przychodzą nam do głowy, a gdy się już wystrzelamy, tłumaczy, że nie są przeznaczone dla ptaków, ale dla latających ssaków – nietoperzy. Takie schrony mogą pełnić funkcję kryjówek dla nietoperzy przez cały rok, a w okresie wiosennym i letnim być miejscem rozrodu i wychowu młodych. O ile do budek dla ptaków już przywykliśmy, to wieszanie takich konstrukcji dla nietoperzy jest dla nas nowością. Sulechów nie bez powodu zaprasza nietoperze do miejskich parków. W ciągu jednej nocy nie-



Relaks z wędką w centrum miasta?
Czemu nie! Staw w Parku Sulecha.

toperz (w zależności od gatunku) jest w stanie zjeść aż 3000 komarów. Otwór w takiej skrzynce znajduje się na samym dole, a jej umiejscowienie i budowa sprawiają, że nie zasiedlają ich ptaki. Podoba nam się podejście sulechowian do przyrody, a w tym temacie jeszcze większa niespodzianka czeka nas w samym Parku Sulecha. Jeszcze zanim wejdziemy na teren parku, naszym oczom ukazuje się duży staw. Tomasz tłumaczy, że nie jest to zwykły akwen wodny. Został zarybiony w ubiegłym roku 250 kilogramami płoci oraz gatunkami lina, karasia, jazia, karpia, okonia i klenia. Sulechów dał mieszkańcom możliwość łowienia ryb praktycznie w centrum miasta! Co ważne, jest to łowisko typu „no kill”, czyli, w którym obowiązuje zasada „złów i wypuść”, bez zabijania, a miejskie służby pilnują jej przestrzegania. Złowionych ryb nie można zabrać ze sobą, ale należy wypuścić je z powrotem do wody. O zasadzie informuje tablica w języku polskim i ukraińskim. Już myśleliśmy, że nie będzie to atrakcyjne dla jakiegokolwiek wędkarza, a gdy podeszliśmy bliżej, okazało się, że mieszkańcy z upodobaniem maczają kije w wodzie. W ogóle podczas naszej wizyty z parku korzystało całe mnóstwo mieszkańców. Aby przekonać nas do tego miejsca, nie trzeba było malować trawy na zielono, bo liczba inwestycji, które zostały zrealizowane na terenie jednego niedużego parku, wprawiła nas w zdumienie i szybko stało się jasne dlaczego sulechowianie chętnie spędzają tutaj czas. Poza dużym łowiskiem z kaczkobarem (automatem, w którym za symboliczną opłatą można otrzymać pełnowartościową karmę dla ptaków, aby nie karmić ich niezdrowym ludzkim jedzeniem), na terenie parku mieszczą się dwie tężnie solankowe, które cieszą się dużym zainteresowaniem miejscowych. W szczególności seniorzy przesiadują tam za dnia, ciesząc się chłodem i zdrowotnymi właściwościami powietrza. Tężnie są wyłączane tylko w samo południe, aby seniorzy, którzy spędzają tam dużo czasu, unikali przesiadywania w pełnym słońcu. Poza tym w parku znajdziemy dwa spore wybiegi dla psów dużych i małych, miejsca do gry w tenisa stołowego, chińczyka, szachy, plac zabaw z szeregiem instalacji, drabinek, pająków, siatek, pumtrack (tor umożliwiający jazdę jednośladem bez pedałowania), skatepark, a powstać ma jeszcze zewnętrzna siłownia. Patrzymy i zazdrościmy. Na niewielkiej przestrzeni zbudowano tyle dobra. Tutaj też spotykamy naszego pierwszego Sulecha. Naturalnych rozmiarów drewniana rzeźba rycerza z mieczem i tarczą powstała kilka dni wcześniej podczas pleneru rzeźbiarskiego i czujnym okiem strzeże teraz parku swojego imienia. Kim właściwie był Sulech? Postać to niezwykła i efemeryczna, której natura wydaje się być nieodgadniona. Legenda o Sulechu nawiązuje do herbu miasta, czyli rycerza z lancą i mieczem stojącego pomiędzy

dwiema wieżami. Symbolizował on strażnika broniącego murów miejskich. Ów rycerz miał być właśnie legendarnym olbrzymem Sulechem, obrońcą miasta. Wcześniejsze wersje legendy dają nam jednak inny obraz olbrzyma. Gigant miał tak naprawdę nazywać się Schreck (z niemieckiego – straszdyło, potwór) i jak bajkowy Shrek nie mieć przyjaznej natury. Razem z rodziną mieszkał w olchowym lesie w pobliżu miasta i trudnił się rabunkiem, napadając na miejscowych, którzy w końcu położyli temu kres, zabijając potwora. Legendę o złym olbrzymie, pochodzącą prawdopodobnie z XVIII wieku, zaadaptowano do powojennej rzeczywistości, poszukując i tworząc polskość Ziem Odzyskanych. Pierwsze podanie o dobrym sulechowskim olbrzymie, zatytułowane po prostu Sulechowski olbrzym, znalazło się w zbiorze baśni i podań Nadodrza z 1962 r. Wtedy gigant Sulech stał się obrońcą uciśnionej ludności polskiej i dzielnie walczył z Niemcami. W książce tej zamieszczono wizerunek olbrzyma odnoszący się do herbu miasta. Taką wersję Sulecha – olbrzymiego rycerza, obrońcy miasta, będziemy mogli spotkać w dzisiejszym Sulechowie.

W końcu Tomasz prowadzi nas po trawie do celu naszej wizyty. Największego w Polsce azymutalnego zegara słonecznego (jego rekordową wielkość w naszym kraju potwierdza na swojej Facebookowej stronie sam twórca). Wymiary robią wrażenie. Granitowa tarcza ma średnicę 3,5 metra. Waży jedną tonę. Składa się z czterech równych części, każda o wadze 250 kg. Takiego kolosa monterzy musieli ustawić na miejscu z dokładnością co do ułamków milimetra, aby jego wskazania były prawidłowe! Po co taka precyzja? W wielu miastach wszak zobaczyć możemy zegary słoneczne i traktujemy je jako bardzo częsty element ozdobny miejskich rynków. Sulechowski zegar jest jednak wyjątkowy. Nie jest zabawką, nie pełni wyłącznie funkcji dekoracyjnej (choć jest piękny), ale jest profesjonalnym urządzeniem, które pozwala nie tylko zmierzyć czas urzędowy, letni, z imponującą dokładnością do 5 sekund, ale też określić moment wschodu i zachodu słońca w Sulechowie dla dowolnie wybranego dnia roku. Zegar zaprojektował i wykonał gnomonik Marek Szymocha (gnomonika to nauka związana z astronomią dotycząca obliczania i kreślenia zegarów słonecznych), tak aby odpowiadał dokładnie współrzędnym geograficznym jego instalacji w parku (52° 05' N; 15° 37' E). Zegar uwzględnia nie tylko poprawkę długości geograficznej swojego położenia, ale nawet subtelne zmiany orbitalnej prędkości Ziemi, krążącej wokół Słońca po eliptycznej orbicie. I tutaj spotykamy rycerza Sulecha. Wieńczy on wysoki pionowy gnomon zegara, który przypominać ma rycerską włócznię. Gnomon pełni rolę wskazówki zegara słonecznego. Jego cień wskazuje aktualne położenie Słońca. Azymutalny zegar słoneczny, taki jak sulechowski, nie ma gnomonu pochylonego pod kątem szerokości geograficznej, jak w klasycznych zegarach, np. wertykalnych, które spotkać możemy umieszczone na ścianach budynków. Tutaj włócznia Sulecha wzbija się prosto w górę. Zegar wskazuje czas za pomocą cienia pionowego gnomonu. Jego zaletą jest precyzyjne wskazywanie czasu w dowolnej porze roku, bez konieczności dodawania lub odejmowania poprawek minutowych (które są zmorą klasycznych zegarów słonecznych). Nie jest więc wrażliwy na sezonowe wahania prędkości orbitalnej Ziemi wokół



Sulech w Parku swojego imienia.

Tomasz Rybarczyk tłumaczy autorowi zasady działania zegara.



Gnomon w kształcie włóczni zdoła wizerunek rycerza Sulecha.



W słońcu cień pionowego gnomonu wskazuje nam czas.



Słońca. Ziemia bowiem porusza się wokół Słońca po elipsie. Gdy jest najbliżej naszej centralnej gwiazdy, jej prędkość na orbicie jest największa, natomiast gdy przebywa najdalej od Słońca, jej prędkość na orbicie jest najmniejsza. Te zmiany prędkości obiegu naszej planety wokół dziennej gwiazdy sprawiają, że czas odmierzany przez Słońce nie płynie jednostajnie, lecz okresowo przyspiesza lub zwalnia. Na przykład w dniu 20 września Słońce spieszy się o 6 i pół minuty, a zatem i klasyczny zegar słoneczny wskazuje czas o tyle wcześniejszy niż jednostajny czas urzędowy, jakim posługujemy się w życiu codziennym. Przyspieszanie będzie narastało, aż do początku listopada, gdy wyniesie ponad 16 minut, po czym typowy zegar zacznie spieszyć się coraz mniej, aby w Boże Narodzenie nie spieszyć się w ogóle i wskazywać czas identyczny z czasem urzędowym. Takich dni jest jeszcze cztery w roku: w połowie kwietnia, około 12 czerwca i 1 września. Po Bożym Narodzeniu Słońce zacznie się spóźniać, a więc i klasyczny zegar słoneczny wskazywał będzie coraz to późniejszy czas, aż do około 10 lutego, gdy spóźnienie sięgnie prawie kwadransa. Następnie spóźniać się będzie coraz mniej, aż do połowy kwietnia, gdy znowu zegar będzie wskazywał czas zgodny z czasem urzędowym. I ponownie, od połowy kwietnia, zegar znów zacznie się spieszyć. Dlatego klasyczne zegary słoneczne wymagają tabel z poprawkami minutowymi, ale nie dotyczy to zegara w Sulechowie. Wybaczcie ten przydługi wykład, ale chciałem wam w ten sposób uświadomić jak trudne jest zbudowanie precyzyjnego zegara słonecznego i że nie wystarczy jedynie tarcza z godzinami i pręt rzucający cień, jak w tych ozdobnych, masowo produkowanych zegarach, których pełno w polskich miastach. Aby prawidłowo odczytać godzinę na sulechowskim zegarze, trzeba najpierw odszukać pierścień bieżącego miesiąca. Na tarczy jest 12 pierścieni podpisanych nazwami miesięcy. Następnie trzeba wskazać na tarczy miesiąca przybliżone miejsce odpowiadające danemu dniu miesiąca. Na przykład, jeśli miesiąc liczy 30 dni, to 15 dzień będzie się mieścił w połowie pierścienia. Następnie podążamy wzrokiem po okręgu do miejsca, w którym nasz dzień na pierścieniu miesiąca przecina się z cieniem rzucanym przez gnomon. Godzinę odczytujemy, kierując się wskazaniem linii falistych, tzw. linii analemy (kształt analemy jest charakterystyczny dla danej szerokości geograficznej i odpowiada pozycjom górowania słońca w trakcie roku). Wyznaczają one na tarczy sulechowskiego zegara zarówno pełne godziny, jak i półgodziny. Ze względu na rozmiar tarczy i gnomonu ma on według twórcy precyzję nawet do 5 sekund. Oznacza to, że gdy środek cienia przecina punkt linii godzinowych, już za kilka sekund widać, że oddala się z tego punktu. Zegar pozwala nam nie tylko określić aktualną godzinę, ale też moment wschodu i zachodu Słońca w Sulechowie dla dowolnego dnia w roku. Służą do tego dwie graniczne linie faliste, które zamykają linie godzinowe. Nie musicie zapamiętywać instrukcji obsługi zegara. Zaraz obok czasomierza stoi tablica informacyjna z precyzyjnymi objaśnieniami. Na zegarze można też przysiąść i odpocząć dzięki wmontowanym w niego ławkom. Nikt nie obrazi się również jeśli musicie stanąć na granitowej płycie. Wandale zaś niech wiedzą, że teren obejmuje miejski monitoring. Gnomon jest najważniejszą częścią zegara. To od niego pochodzi nazwa gnomoniki, która swój rozkwit przeżywała od XIV do XVII wieku. Wraz z upowszechnieniem się zegarów mechanicznych, zegary słoneczne traciły na znaczeniu. Marek Szymocha jest chyba jedynym obecnie w Polsce czynnym twórcą, zajmującym się zawodowo gnomoniką na dużą skalę. Chodzi o profesjonalne zegary słoneczne (obliczane dla określonej lokalizacji, z których każdy stanowi indywidualne dzieło), nie zaś tandetne, powielane powielekroć egzemplarze „uniwersalne”. Jego zegary zobaczyć można w Poznaniu, Toruniu, Krakowie, Łodzi, ale też w Holandii, czy w polskiej stacji polarnej na Spitsbergenie. W Lubuskim stawał zegary, m.in. na Rynku Miejskim w Strzelcach Krajeńskich i w Żaganii. No i oczywiście w Sulechowie. Zegar stanął w parku w ubiegłym roku i jest przykładem partnerstwa publiczno-prywatnego. Stanowi dar dla miasta od prywatnej spółki zajmującej się energią słoneczną.



Suleszek w centrum miasta. Mały, ale wariat.

Postawienie największego zegara słonecznego w Polsce, o tak fenomenalnej precyzji wskazań czasu, nie zostało bez echa wśród astronomów w całym kraju. Informowało o tym m.in. Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Astronomii, czy Obserwatorium Astronomiczne w Koszalinie. Patrząc na potężny gnomon ze stali szlachetnej i cofam się myślami do pierwszych prób mierzenia upływającego czasu, których jest wyrazem. Gnomon z języka starogreckiego znaczy „ten, który wie..”. Ten, który zna czas. Pręt gnomonu jest równoległy do osi obrotu kuli ziemskiej, a więc jego przedłużenie wskazuje na niebie punkt, wokół którego pozornie obraca się całe niebo, wraz ze Słońcem. Punkt ten znajduje się na niebie w pobliżu Gwiazdy Polarnej. Początkowo gnomonem mógł być nawet kij wbity pionowo w ziemię. Gnomony w formie kolumn i słupów budowano w Egipcie, Mezopotamii, Chinach, Indiach, od ok. 3 tys. lat p.n.e. Wynalezienie gnomonu stanowiło rewolucję w mierzeniu czasu. Jest to zarazem najstarszy przyrząd astronomiczny. Niepozorny kij, który rzuca cień posłużył na przykład do zmierzenia obwodu naszej planety. Eratostenes z Cyreny dokonał tego w 230 r. p.n.e., wykorzystując pionowy pal jako gnomon i badając to, jak rzuca cień tego samego dnia roku w dwóch różnych oddalonych od siebie o 800 kilometrów miejscowościach. Korzystając z tej prymitywnej metody, wyliczył promień i obwód Ziemi, a jego wyniki są tylko o nieco ponad 1 % mniejsze od obecnie znanych! Aby jednak mógł otrzymać prawidłowe wyniki, a nawet w ogóle, abyśmy mogli mówić o obwodzie Ziemi, Eratostenes musiał wiedzieć, że nasza planeta jest kulistym globem. Potwierdził to więc doświadczalnie ponad 2000 lat temu i po dziś dzień co roku potwierdzają to tysiące uczniów już w szkołach podstawowych, które biorą udział w Eksperymentcie Eratostenesa. Przeprowadzenie eksperymentu jest tak proste, że w roku szkolnym 2020/2021 wzięło w nim udział 5877 szkół ze 105 krajów świata, w tym wiele z Polski, nawzajem potwierdzając swoje wyniki, takie same jak przed dwoma tysiącami lat otrzymał grecki filozof. Piszę o tym dlatego, że coraz głośniej słychać, tzw. płaskoziemców, których nie przekonują dowody. A dowodem może być zwyczajny słup wbity w ziemię, jak ten, na który właśnie patrzę. Zegar w Sulechowie wpisuje się w trwającą kilka tysięcy lat tradycję mierzenia czasu za pomocą Słońca. Tego typu czasomierze napędzane są ruchem Ziemi wokół Słońca, który jest przyczyną wszystkich naturalnych cykli życia na naszej planecie. Zegar jest wspaniały, ale ma jedną poważną słabość. Jak wszystkie zegary słoneczne, potrzebuje naturalnego światła. Wśród mieszkańców pojawiała się więc obawa,

że zasadzone nieopodal drzewa mogą przykryć zegar swoim cieniem. Tomasz przekonuje nas, że sprawdzono to dokładnie i żaden obiekt nie rzuci cienia na tarczę przez wszystkie dni w roku, uwzględniając nawet maksymalną wysokość, na jaką wyrosnąć mogą posadzone w pobliżu drzewa. Nie tylko jednak drzewa mogą być problemem. Przyjechaliśmy do Sulechowa w pochmurny dzień. Gnomon nie rzuca cienia. Umawiamy się więc z Tomaszem, że przyjedziemy znowu za trzy dni, w słoneczną pogodę i przekonamy się o precyzji zegara. Jeśli chcecie zobaczyć to cudo użytkowej architektury, również weźcie po uwagę warunki pogodowe. Ruszamy w stronę ratusza. Po drodze Tomasz pokazuje nam kolejnego Sulecha. W tym przypadku jednak bardziej pasuje określenie Suleszek, gdyż ma zaledwie ok. 60 centymetrów wysokości, ale w bojowej postawie zajmuje centrum miasta. W mieście Sulechów i Suleszków ma stanąć dużo więcej. Nie bez powodu na myśl przychodzą nam zielonogórskie Bachusiki. Autorem Suleszka jest Artur Wochniak, odpowiedzialny właśnie za Bachusiki. Jest to też kolejny przykład udanej współpracy publiczno-prywatnej i wyraz patriotyzmu lokalnej firmy, która ufundowała figurę. Zbliżamy się do ratusza i tutaj Sulech nas nie opuszcza. Tomasz wskazuje nam na głowę, która patrzy na nas z wysokości ośmiu metrów z budynku magistratu. Sama głowa wykonana z gipsu, umieszczona w niezwykłym miejscu, miałyby obrazować jak wysoki był olbrzym Sulech... Na budynku ratusza widzimy również pamiątkową płytę, która informuje nas o pobycie Fryderyka Chopina w tym mieście. Był to pobyt zaledwie kilkugodzinny w dn. 28 września 1828 r., gdy zmieniano konie w jego zaprzęgu, ale, czekając w domu miejscowego poczmistrza, 18-letni wówczas kompozytor dał zaimprovizowany koncert. Podobno zauroczony pięknymi córkami gospodarza dał się namówić na więcej i grał nawet przez trzy godziny, ciesząc uszy miejscowych. Pobyt krótki, ale i z niego miasto potrafiło wycisnąć ile się da, po dziś dzień. Pokazuje to geniusz promocyjny władarzy miejskich. Na pamiątkę tego wydarzenia co roku w Sulechowie organizowane są koncerty chopinowskie (Festiwal Muzyki F. Chopina w Sulechowie). Kolejny powód do odwiedzin miasta, tym razem dla miłośników muzyki. W budynku ratusza witamy się z pracownikami wydziału promocji, w tym z Panią kierownik. Odbywamy przemiłą rozmowę i otrzymujemy gadżety promocyjne, które cieszą nas w dalszej podróży. Przebieg kolejnych wycieczek notuję już w notesie z logo Sulechowa.

Wracamy tutaj trzy dni później. Piękny słoneczny dzień. W parku duże grupy mieszkańców. Podchodzimy do zegara i już z daleka widzimy długi wyraźny cień rzucający przez gnomon. Postępujemy zgodnie z instrukcją i porównujemy wskazanie zegara słonecznego z moim naręcznym zegarkiem mechanicznym (z drewna, z inskrypcją „Czas pokaże



Głowa olbrzyma Sulecha, na wysokości 8 metrów, na ścianie ratusza.



Zegar słoneczny w Sulechowie

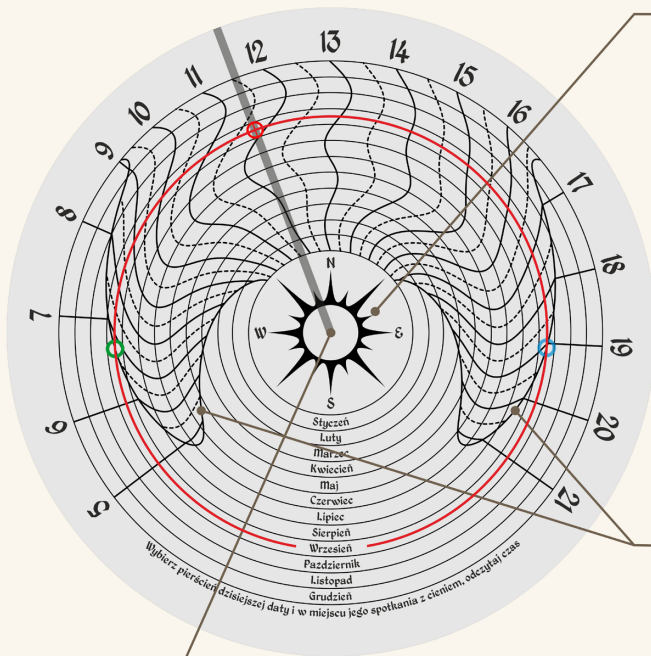
jest zegarem azymutalnym, którego cechą szczególną jest pionowo ustawiony gnomon (wskazówka). Zegar oprócz pomiaru czasu urzędowego, letniego, wskazuje także momenty wschodów i zachodów Słońca w Sulechowie dla dowolnie wybranej daty. Wyróżnia się wśród tradycyjnych czasomierzy słonecznych stosunkowo wysoką precyzją działania bez względu na porę roku. Uwzględnia bowiem nie tylko poprawkę długości geograficznej swojego położenia, ale nawet subtelne zmiany orbitalnej prędkości Ziemi, krążącej wokół Słońca po orbicie eliptycznej.

Kompas kierunków świata

nazywany niekiedy „różą wiatrów”, ponieważ służy do określania kierunków wiatrów w meteorologii. Tutaj wykorzystany jest do wskazywania 16 kierunków świata.

4 kierunki główne, zwane kardynalnymi, są oznaczone literami N (ang. north, północ), E (ang. east, wschód), W (ang. west, zachód), S (ang. south, południe).

4 kierunki pośrednie pierwszego stopnia: północno-zachodni (NW), północno-wschodni (NE), południowo-zachodni (SW) i południowo-wschodni (SE) oraz 8 kierunków pośrednich drugiego stopnia, np. wschodnio-południowo-wschodni (ESE), zachodnio-północno-zachodni (WNW), południowo-południowo-zachodni (SSW), itd. Tylko cztery główne kierunki (kardynalne) zostały oznaczone literowo.



Linie wschodów i zachodów Słońca w Sulechowie

Dwie linie graniczne, które zamykają faliste linie godzinowe, służą do określania czasu wschodów i zachodów Słońca w Sulechowie. Na przykład **czerwonym okręgiem** zaznaczono datę 15 września, która leży dokładnie w środku pierścienia września. Widać, że okrąg 15 września przecina linię wschodów Słońca w punkcie oznaczonym **zielonym kółkiem**. Z drugiej strony tarczy, ten sam czerwony okrąg daty 15 września, przecina linię zachodów Słońca w punkcie oznaczonym **niebieskim kółkiem**. Widać z proporcji odległości punktu przecięcia od linii godzinowych, że 15 września wschód Słońca w Sulechowie następuje około godz. 6:35, a zachód około godz. 19:10.

Gnomon (pionowa wskazówka)

Ustawiony jest względem poziomu pod kątem prostym (90°). Przedłużenie gnomonu w górę, do przecięcia ze sferą niebieską, wskazuje punkt najwyższy położony nad horyzontem. Punkt ten nazywa się **zenitem**. Słowo pochodzi z języka arabskiego i oznacza „kierunek głowy”, co obrazuje jego położenie dokładnie nad głową obserwatora. Przeciwległym punktem, który znajduje się pod stopami obserwatora, jest **nadir**. Słowo również pochodzi z języka arabskiego i oznacza „przeciwieństwo”, czyli punkt na sferze niebieskiej położony naprzeciwko zenitu. Gnomon zegara w Sulechowie jest stylizowany na włócznię rycerza Sulecha, dlatego zakończony jest grotem. Wizerunek mitycznego rycerza, zaczerpnięty z herbu miasta, został przytwierdzony do włóczni-gnomonu.



jak bardzo Cię kocham” – prezent od żony). Wynik olśniewa. Sulechowski kosmiczny zegar jest diablo precyzyjny. Spróbujcie określić przybliżoną godzinę naszej wizyty w Sulechowie na podstawie załączonego zdjęcia, wiedząc, że odwiedziliśmy to miejsce 25 września (określenie na podstawie zdjęcia może nie być tak łatwe, jak będąc na miejscu, dlatego w odpowiednim pierścieniu miesiąca zaznaczyliśmy linię danego dnia. Odpowiedź zamieściłem w ostatnim rozdziale na końcu książki, abyście mogli się sprawdzić). Z poczuciem doświadczenia czegoś wspaniałego udajemy się na dworzec PKP. Do kolejnego miejsca naszej podróży.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Do Sulechowa przyjechaliśmy z Gorzowa Wielkopolskiego pociągiem POLREGIO. Bezpośrednio, bez żadnych przesiadek. Wyjechaliśmy o 7:30, a podróż trwała dwie godziny. Ze stacji do Parku Sulecha można wybrać się spacerkiem w kwadrans wśród ładnych okoliczności przyrody, mijając dwa inne parki. Podczas wizyty Tomasz pokazał nam, że mają również dobrze rozwiniętą ofertę elektrycznych hulajnóg, których miejsce postoju mijaliśmy podczas spaceru. Na miejscu stołowaliśmy się w słynnej restauracji indyjskiej Tadz Mahal, gdzie warto wpaść, chociażby ze względu na cudowny wystrój, obsługę i atmosferę. Do Gorzowa moglibyśmy wrócić tego samego dnia (ostatni pociąg o 19:00), robiąc z tego jednodniowy wypad. Z Sulechowa nie wracamy jednak do Gorzowa, ale jedziemy dalej do kolejnej miejscowości, tym razem autobusem PKS z sulechowskiego dworca. Mamy zaplanowany nocleg, gdyż nie zdążymy wrócić do Gorzowa. O ile koszty biletów pokryjemy z dotacji z województwa lubuskiego, to urzędnicy nie zgodzili się na pokrycie kosztów noclegów, które poniesiemy z własnej kieszeni. Wziąwszy pod uwagę wszystkie przyjemności naszej podróży i przemiłych ludzi, których spotykamy w trakcie, zdecydowanie warto było.

O mrocznym miejscu, które dziś służy jasnej stronie mocy

Amfiteatr w Ośnie Lubuskim



Schody na szczyt wieży Eckarta.



Wieża Eckarta, błędnie nazywana przez miejscowych wieżą Bismarcka, wykonana z granitu z ostrołukowymi arkadami po czterech stronach budowli.

Są tylko dwa takie miejsca w Polsce, jedno w Lubuskim, a drugie na Górnym Śląsku. Łączy je wspólna mroczna historia, choć dzisiaj służą jasnej stronie mocy. Nasz gospodarz wielokrotnie powtarzać będzie podczas wizyty, abyśmy pisząc o niechlubnej przeszłości tego obiektu, nie zapomnieli o jego teraźniejszości, o tym, jak służy obecnym mieszkańcom. Nie zapomniemy. To jest wszak główny powód, dla którego przyjechaliśmy do Ośna Lubuskiego.

Amfiteatr w Ośnie zgłosiła nam Pani Agata Sawicka, pochodząca z Ośna, a na co dzień pracująca z seniorami w Rzepinie. Gdy chcieliśmy umówić się z nią na miejscu poleciła nam jednak inną osobę, Pana Macieja Błońskiego. Spotykając się z Maciejem pod ratuszem w Ośnie szybko zrozumieliśmy dlaczego. Maciej Błoński jest chodzącą encyklopedią tego miejsca. Regionalistą, historykiem amatorem, który poświęca swój wolny czas odkrywaniu tajemnic Lubuskiego, ze szczególnym naciskiem na historię Ośna Lubuskiego. Ma też dar opowiadania i zapał do dzielenia się swoją pasją. Umówił się z nami, że zanim pokaże nam amfiteatr musimy odwiedzić jeszcze jeden obiekt, powiązany z tym, po co przyjechaliśmy (co najmniej jeden, gdybyśmy mieli więcej czasu, to Maciej zrobiłby nam pełnowymiarową wycieczkę). Udajemy się za nim pod wieżę, którą wielu miejscowych nazywa wieżą Bismarcka. Zanim jednak opowie nam o tym miejscu dzieli się z nami kilkoma ciekawostkami na temat Ośna Lubuskiego, w które byśmy nie uwierzyli, gdybyśmy później ich nie sprawdzili. Maciej nie żartuje,



Maciej Błoński i autor na szczycie wieży.

Ośno to niezwykle miasto. Bo kto by pomyślał, że właśnie stąd pochodzi wynalazca baleronu, obok szynki najwyżej cenionej polskiej wędliny (i piszę o tym ja, zadeklarowany wegetarianin od 15 lat) produkowanej z karczku wieprzowego. O ile starsze słowniki języka polskiego wywodziły nazwę tego mięsa z francuskiego *paleron*, oznaczającego zwierzęcą łopatkę to już XX-wieczne zgodnie mówią o pochodzeniu tego określenia od niemieckiego gwarowego *Ballen-Rolle*, które opisuje kształt tej wędliny: *Rolle* to wałek, a *Ballen* to występujące na nim brzuśce, efekt sznurowania w procesie produkcji. Twórcą baleronu był bowiem nie kto inny, ale pochodzący z niemieckiego ówczesnie Drossen Oskar Dörfler (1885 – 1933). Dzięki pieniądзом z baleronu ufundował istniejący do dzisiaj w Ośnie stadion miejski oraz coroczną dwutygodniową wycieczkę dla miejscowych uczniów i finansową pomoc dla setki niezamożnych 70-latków. Ośno Lubuskie słynęło również na cały świat do 1945 r. z plantacji kwiatów – konwalii majowej. Na przełomie XIX/XX wieku, olbrzymie ogrodnictwa w Ośnie specjalizowały się w produkcji bulw konwalii. W najlepszych czasach 6-7 milionów bulw rocznie trafiało na rynek europejski i amerykański. Miasto ochrzczono wówczas mianem Maiblumenstadt (niem. „miasto majowych kwiatów”) a producentów bulw „konwaliowymi królami”. Ten chroniony gatunek bez większego problemu można jeszcze dziś spotkać w ośniańskich lasach. Istnieje nawet specjalna odmiana konwalii pochodząca z Ośna - *convallaria majalis* „ośno”. Maciej opowiada nam także o pierwszej kobiecie prowadzącej gabinet ginekologiczny, feministce rodem z Ośna oraz o tym, że to tutaj w 1930 r. po wygraniu wyborów do rady miejskiej przez NSDAP powstał pierwszy w Prusach parlament nazistowski. I od tej ostatniej wiadomości płynnie przejść możemy do wieży, na którą właśnie z Maciejem patrzymy. Nie powstała ona bowiem, jak błędnie można przeczytać w wielu miejscach w Internecie, na cześć kanclerza Rzeszy Ottona von Bismarcka, ale upamiętnia jednego z najważniejszych ideologów nazistowskich. Człowieka, któremu Adolf Hitler dziękował osobiście w swoim „Mein Kampf”. Wieża ta miała być pomnikiem na cześć Dietricha Eckarta, antysemickiego dziennikarza i polityka, uczestnika puczu monachijskiego, członka Towarzystwa Thule. To on wspólnie z Antonem Drexlerem założył Niemiecką Partię Robotników (DAP),



Autor z Maciejem Błońskim przed wejściem na wieżę Eckarta.

później przemianowaną na NSDAP. W 1924 r. ukazała się jego broszura, p.t. „Bolszewizm od Mojżesza do Lenina – moja rozmowa z Hitlerem”, w której pisał, m.in. że komunizm jest żydowskim spiskiem, a Mojżesz był starożytnym odpowiednikiem Lenina. Eckart był najważniejszym ideologiem we wczesnej fazie rozwoju partii nazistowskiej. Ukuł hasło *Deutschland Erwache!* (Niemcy, przebudźcie się!), które później stało się refrenem hymnu nazistowskiej bojówki SA. Maciej tłumaczy nam, że to Eckart wprowadził Hitlera na salony, a Hitler uważał go za swojego mentora i dziękuje mu osobiście pod koniec swojego życiowego credo, książki „Mein Kampf” (którą Maciej czytał ze względu na swoje historyczne zamiłowania) nazywając go jednym z największych bohaterów ruchu nazistowskiego. Eckart został uznany za jednego z pierwszych „męczenników” ruchu nazistowskiego, gdy zmarł krótko po opuszczeniu więzienia, w którym odbywał karę za udział w puczu monachijskim. Polska Wikipedia informuje tylko o jednym upamiętnieniu tej postaci – wieży, przy której właśnie stoimy, nazwanej Wieżą Eckarta (niem. Eckart-Turm) i zbudowanej w Ośnie w 1937 r. Czworoboczna granitowa wieża robi niesamowite wrażenie swoją masywnością, ale i piękną konstrukcją. Plac jest uporządkowany, a wieża odznacza się mocno na tle zadrzewionej polany, całkowicie pustej wokół poza tą jedną budowlą. Jej usytuowanie na wzniesieniu w otoczeniu przyrody dodaje miejscu splendoru i klimatu. Zbliżamy się do ostrołukowej arkady nad wejściem do budowli. Obiekt jest otwarty, więc można wejść do niego o dowolnej porze. W środku czekają na nas kamienne schody prowadzące na szczyt wieży. Idziemy powoli na górę, za Maciejem. Nie śpieszymy się, w środku jest dość ciemno, więc trzeba uważać na schodach. Przyświecam sobie telefonem. Z góry widok jest piękny. To miejsce jeszcze przed wojną pełniło bowiem rolę punktu widokowego. Po środku widać podstawę od lunety, która stanęła tutaj dwa lata temu z inicjatywy Stowarzyszenia na rzecz rozwoju Ośna Lubuskiego, ale dzisiaj jej niestety już nie ma. I bez niej cieszymy się widokiem, upiękaszonym jeszcze złotą polską jesienią. Patrzymy, m.in. w stronę Jeziora Reczynek i miejsca, do którego za chwilę zabierze nas Maciej, ale na razie rozmawiamy jeszcze o Eckarcie, pasjach Macieja i historii Ośna. Przy wieży lub na jej szczycie brakuje mi tablicy informacyjnej o jej przeszłości. Eckart był po wojnie postacią praktycznie niezna-



Kamienne stopnie ośniańskiego amfiteatru. Pięć stopni obudowano dziś drewnianymi siedziskami.

ną osobom niezaznajomionym z historią. Może też dlatego miejscowi częstokroć nazywają wieżę nazwiskiem Bismarcka i byłby to powód, czemu wieża przetrwała nienaruszona. Swoim wyglądem przypomina bowiem popularne wieże Bismarcka, których na terenie obecnej Polski wybudowano około 40 (m.in. w Słubicach, Świebodzinie, Międzyrzeczu, Międzychodzie, Głogowie, Wschowie, Żarach, Żaganu czy Zielonej Górze). Wchodzę na stronę internetową ośniańskiego gospodarstwa agroturystycznego i czytam, że „naszych gości zachęcamy do zobaczenia takich perełek Ośna Lubuskiego jak: wieża Bismarcka”, podobnie na stronie miejscowego spa: „Ośno Lubuskie znajduje się jedynie 15 minut od Wieży Bismarcka.,” czy nawet na stronie promującej dwumiasto Frankfurt – Słubice (www.frankfurt-slubice.eu): „W Ośnie Lubuskim zobaczysz Wieżę Bismarcka”. Pamiętajmy jednak, że ta wieża nie miała nic wspólnego z postacią Bismarcka, ale jest jednym z niewielu trwałych pamiątek po jednej z najbardziej przerażających postaci okresu nazizmu. Dlatego też łączy się z miejscem, które przyjechaliśmy tutaj finalnie zobaczyć. To spod tego pomnika Eckarta członkowie Hitlerjugend wyruszali krokiem marszowym do miejsca zgromadzeń - *Thingplatzu*.

Gdy docieramy do dawnego *Thingplatzu*, uderza nas ogrom konstrukcji oraz jego zapierające dech w piersiach położenie. Miejsce jest przepiękne. Nad brzegiem jeziora Reczynek wzniesiono w 1934 r. wielki kamienny amfiteatr. Położenie obiektu nie było przypadkowe. Miało zachwycać. Amfiteatr miał spełniać cele propagandowe, chwytać za serce i służyć budowie ideału „nowego człowieka”. 22 czerwca 1935 r. Joseph Goebbels Minister Propagandy III Rzeszy w swoim przemówieniu mówił o *Thingplatzach* i ich celach: „*W tych monumentalnych budynkach nadaliśmy naszemu stylowi i naszemu pogładowi na życie żywy, rzeźbiarski i monumentalny wyraz. Miejsca te są w rzeczywistości parlamentami stanowymi naszych czasów. Nadejście dzień, kiedy naród niemiecki będzie zmierzać do tych kamiennych miejsc, aby w rytualnych zabawach wyznawać swoje niezniszczalne nowe życie.*” Pomysł, stworzenia nowej formy miejsca spotkań nawiązywał do ideologii ruchu „Krew i Ziemia”. Chodziło o tworzenie propagandowych mitów, rytuałów i ceremonii. Nawiązywano do dążenia prawicy niemieckiej do ucieczki od „zepsucia” miejskiego życia i powrotu do przedprzemysłowych form



Od widowni scenę oddziela jeszcze okrągła trójstopniowa orchestra.

gospodarki rolnej i wiejskiej prostoty. Dlatego miejsca spotkań budowano często na skraju lasów, nad brzegami jezior, czy też na wzgórzach, co miało podkreślać ideę łączności narodu niemieckiego z naturą. Nazwa *Thingplatz* (lub też *Thingspiel* albo *Thingstätte*) nawiązywała do *Thingu*, czyli zgromadzeń dawnych plemion germańskich, podczas których podejmowano najważniejsze decyzje i przeprowadzano procesy sądowe. Te place miały również związek z odradzającym się w nazistowskich Niemczech ruchem neopogańskim i odwrotem od chrześcijaństwa na rzecz pierwotnych germańskich wierzeń. Podawane często propagandowe informacje, jakoby nowe *Thingplätze* powstawały na miejscach dawnych germańskich zebrań zwykle nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Amfiteatry musiały być bardzo duże, dlatego robią takie wrażenie, jak ten w Ośnie, aby pomieścić całe bataliony SA lub Hitlerjugend. Stopnie ośniańskiego amfiteatru są niewielkie, ale jak tłumaczy nam Maciej Błoński hitlerowcy, podczas organizowanych tutaj zebrań, propagandowych spektakli, nie siadali tylko stali. Aby zwiększyć dramaturgię spotkania organizowano po zmroku przy nieodłącznych zapalonych pochodniach. Zgodnie z zamierzeniami Ministerstwa Propagandy amfiteatry nazistowskie miały powstawać na terenie całej Rzeszy (podaje się, iż miało ich powstać od 400 do nawet 1200, ale ostatecznie wybudowano nieco ponad 40). Był to ówczesnie jeden z największych architektonicznych projektów w czasach nazistowskich oraz największy program budowy amfiteatrów na otwartym powietrzu od czasów antycznych. Przy budowie *Thingplatzów* nawiązywano architektonicznie do greckiego teatru antycznego, z widownią umieszczoną w kształcie dużego (większego od półkola) wycinka koła, theatronu, na zboczu naturalnego wzniesienia. Tak właśnie wygląda *Thingplatz* w Ośnie. Zrezygnowano jednak w wszelkich środkach iluzjonistycznych (na przykład kulis, rampy), gdyż amfiteatry miały umożliwić stworzenie poczucia łączności wykonawców z widzami. Z uwagi na fakt, iż jednym z podstawowych celów idei *Thingspielu* było nadanie prezentacji sztuk nazistowskich charakteru masowego, widownie wznoszone były dla wielotysięcznej publiczności. Mogły one pomieścić od 3 do 20 tysięcy widzów. Ważniejsza od funkcji kulturowej była jednak funkcja kultowa, a więc imprezy masowe o charakterze rytualnym. Kult, a nie „sztuka”, jest istotą *Thingu*, dlatego w literaturze można się spotkać z określeniem tych miejsc jako miejsc kultu. Kariera *Thingplatzów* trwała krótko. Od 1937 r. zaczęto dystansować się od *Thingu*. Wydaje się, że przyczyną był kierunek myślenia kierownictwa partii nazistowskiej, które stało na stanowisku, iż elementy kultowe, mistyczne i irracjonalne, a więc stanowiące trzon tych miejsc kultu,



Widok ogólny na Thingplatz w Ośnie Lubuskim.
Nawet wisząc na lampie Ola nie jest w stanie
w jednym kadrze zmieścić ogromu konstrukcji.

mogą przynieść więcej szkód niż korzyści dla polityki propagandowej, która definiowała narodowy socjalizm jako ruch modernizacyjny, chłodną kalkulację oraz jako swoisty kult rozsądku. *Thingplatze* musiały odejść w zapomnienie. Obecnie powszechnie można znaleźć w sieci i w literaturze informację, że na terenie naszego kraju zachowały się tylko dwa takie miejsca – w Ośnie Lubuskim i na Górze Św. Anny w województwie opolskim. Pokazują jednak Maciejowi post na portalu Facebook, w którym oznaczył go jego znajomy, a z którego wynika, że podczas wycieczki rowerowej zwiedzał on nazistowski amfiteatr przy jeziorze Oczo w Myśliborzu. Maciej potwierdza, że takich miejsc jest więcej, ale w pełni zachowane, wykorzystywane po dziś dzień, są tylko wspomniane dwa. A właśnie, wypada wspomnieć, że świetnie zachowany *Thingplatz* w Ośnie nie stanowi jedynie atrakcji historycznej. Służy mieszkańcom jako amfiteatr, na którym odbywają się miejskie imprezy. Jego świetny stan techniczny i przepiękne położenie są dziś wykorzystywane przez jasną stronę mocy. Część kamiennych stopni wyłożono drewnianymi siedziskami, więc można obecnie wygodnie usiąść z całą rodziną podczas oglądania występów na scenie amfiteatru. Dni Ośna, koncerty, pikniki – wszystko odbywa się dziś na terenie dawnego *Thingplatzu*. Miejsce ma niesamowity klimat. Pomiedzy widownią a kamienną sceną wnosi się okrągły plac orkiestry jak w starożytnej Grecji. Wykorzystanie naturalnego kamienia (typowe dla tych nazistowskich amfiteatrów, również podkreślające zespolenie z naturą) też robi robotę. Widzowie, obserwując to dzieje się na scenie w tle mają piękny widok na taflę jeziora Reczynek. Ola wpada na „świetny” pomysł, coby wspiąć się na lampę oświetleniową, aby zrobić jak najlepsze ujęcie. Obiekt jest bowiem tak duży, a spadek terenu niewielki i trudno ująć go w całości na fotografii. Jako, że wybicie jej czegoś z głowy jest praktycznie niemożliwe asekuruję ją podczas wspinaczki. Oglądając zdjęcia pamiętajcie o jej poświęceniu. Tak jak wieża Eckarta, pełniąca rolę punktu widokowego, nazistowski amfiteatr służy po dziś dzień, ale tym razem dobrym celem. Zamiast rasistowskiej propagandy daje radość mieszkańcom. Mimo mrocznej historii tych miejsc cieszę się, że o nich nie zapomniano. Zrównanie ich z ziemią z powodu tego, czemu kiedyś służyły nie byłoby dobrym pomysłem. Historyczna zemsta, rewanżyzm, niszczenie pa-

mięci to nie rozwiązanie. Powinniśmy pamiętać, aby historia się nie powtarzała. Szanujmy też pamięć tych, którzy kiedyś tutaj mieszkali, zwyczajnych ludzi. Historią niech zajmują się historycy, a politykę zostawmy politykom i nie tworzymy takich oksymoronów, jak *polityka historyczna*. Pamiętam jakie smutne wrażenie wywarło na mnie to, że po wojnie nagrobki niemieckich mieszkańców wsi, z której pochodzę, niewielkiej wioski Karsko (Woj. Zachodniopomorskie, Powiat Myśliborski), zostały spychaczem zepchnięte pod ogrodzenie cmentarza i doszczętnie zniszczone. Polityka historyczna uprawiana na grobach zwyczajnych ludzi to coś okropnego. Z kolejnymi przejawami takiego zjawiska spotkałem się, gdy stworzyłem w Gorzowie Wielkopolskim lokalny magazyn fantastyczny i nazwałem go „LandsbergON”, od przedwojennej nazwy miasta (Landsberg). Praktycznie na każdym spotkaniu autorskim pojawiali się ludzie, którzy wyklócali się o tę nazwę, wskazując, że to Gorzów, a nie żaden Landsberg. Byli to zwykle ludzie starszej daty, nadal obawiający się niemieckich resentymentów do tych ziem. Krytykę zniosłem, nazwa funkcjonuje od 7 lat i nie zamierzam jej zmieniać. Uważam, że nie ma powodu, abyśmy wstydzieli się albo bali naszej podwójnej polsko-niemieckiej historii. Myślę, że dobrym przykładem są tutaj Ząbkowice Śląskie, które do 1945 r. nazywały się *Frankenstein*. Taka nietypowa nazwa jest dziś eksploatowana przez miasto na wszelkie sposoby. Podobizna potwora pojawia się w logotypach lokalnych firm, a w samym mieście zwiedzić możemy pracownię słynnego powieściowego doktora. Wydaje mi się, że Ośno Lubuskie również jest niezłym przykładem pozytywnego podejścia do historii miasta. Wieża, która kiedyś była symbolem jednego z nazistowskich potworów dziś służy mieszkańcom, którzy pozyskują unijne środki na upiększenie tego miejsca i włączenie go do lokalnej infrastruktury turystycznej. Mroczny *Thingplatz* pozwala dziś cieszyć się mieszkańcom korzystającym z jego pięknego usytuowania, podczas koncertów i plenerowych imprez. Zło zostaje przekute na coś dobrego. Zamiast niszczyć, wykorzystano te miejsca ku dobremu celom. Na tym polega prawdziwe zwycięstwo jasnej strony mocy. Podziwiamy jeszcze przez chwilę obiekt i żegnamy się z Maciejem. Zaprasza nas ponownie na placek i historyczną wycieczkę. Nie możemy się doczekać powrotu.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Do Ośna podróżujemy autobusem PKS. Z Gorzowa Wielkopolskiego mamy tylko dwa połączenia, rano i po południu. Podróż trwa godzinę. Musimy jeszcze tego samego dnia być w Rzepinie, realizując projekt „Senior Radzi” z tamtejszymi seniorami, więc mielibyśmy problem ze zwiedzeniem Ośna, dotarciem na czas do Rzepina i powrotem do Gorzowa, dlatego na miejscu pomaga nam mój szwagier, oferując nam podwózkę autem, z której korzystamy. Niestety połączeń komunikacją publiczną pomiędzy naszym miastem a Ośnem jest zbyt mało. Moglibyśmy przyjechać o 9:00 PKSem i wrócić o 12:40 również autobusem, gdyby nie Rzepin. Podczas wycieczek nie lubimy się spieszyć, ale czasem trzeba. Już na miejscu można zrobić sobie przyjemny spacer, bo dotarcie spod Urzędu Miasta, gdzie umówiliśmy się z Maciejem do Wieży Eckarta to 20 minut piechotą i kolejne 20 minut do amfiteatru, wzdłuż malowniczego jeziora Reczynek. My, jednakże jedziemy autem, śpiesząc się do Rzepina. Życie bywa niesprawiedliwe, ale wam życzę powolnego przyjemnego zwiedzania.

O mieście widmo

Opuszczone miasteczko westernowe w Kosinie

Autor i Mariusz Skowronek na terenie opuszczonego miasteczka westernowego.



W naszych wycieczkach po Lubuskiem przychodzi nam czasem odwiedzać miejsca opuszczone, cienie zamierzchłych czasów, świadectwa utraconych szans. Przykładem jest najstarszy cmentarz w Gorzowie Wielkopolskim, opuszczony i zapomniany, bo żydowski, czy po-hitlerowska fabryka pod Nowogrodem Bobrzańskim, której każdy stara się pozbyć, zamiast wykorzystać turystyczny potencjał. Z naszym kolejnym miejscem jest jednak nieco inaczej. Jest ono zdecydowanie nowsze. Znika najszybciej. I dziś już tam nie wejdziecie.

Na kolejnym obiekcie spotykamy się z Martą i Mariuszem Skowronkami, małżeństwem, które, podobnie jak my lubi zwiedzać nieoczywiste miejsca naszego regionu. Zgłosili nam to miejsce-widmo, do którego właśnie się udajemy, przechodząc przez otwartą, aczkolwiek zniszczoną bramę. Przed wejściem wita nas wielki, aczkolwiek już wyblakły billboard z napisem „Ośrodek Turystyki i Rekreacji Jeździeckiej w Kosinie”, wymieniając też liczne atrakcje tego miejsca: „konie, bryczki, quady, kajaki, rowery...”. W środku mieściło się też mini zoo z papużkami falistymi, nimfami, bażantami, perliczkami, świnkami amerykańskimi, kozami, owcami, dzikimi świniami czy świnkami wietnamskimi. Obiekt otwarto w sierpniu 2002 r. Inicjatorem był prof. dr Janusz Merski, wieloletni działacz Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego i pionier niepublicznego szkolnictwa w Polsce, specjalizujący się od wielu lat, m.in. w kształceniu kadr dla turystyki. Perełką tego miejsca było zaś miasteczko westernowe, ze wszystkimi obiektami charakterystycznymi dla pejzażu Dzikiego Zachodu. Mieściła się tu, chociażby, siedziba szeryfa, saloon, bank, dom trapera, krawiec czy centralnie położony hipodrom przeznaczony do rozgrywania konkurencji konnych „western & rodeo”, gdzie łapano rogaciznę na lasso. Odbываły się koncerty muzyki country. Miejsce z racji na bliskość lasów i jezior stanowiło nie lada atrakcję dla rodzin, które chętnie spędzały tu czas



Dawniej miejsce wystaw i spotkań artystów z dzwonem na szczycie wieży.



Dziś, we wnętrzu galerii, zobaczymy co najwyżej mural z filmu o Dzikim Zachodzie.

wraz ze swymi pociechami. Skazane na turystyczny sukces. Teraz, idziemy za małżeństwem Skowronków, mijając opuszczone budki przy bramie wjazdowej. Po naszej prawej stronie walą się drewniane budynki. Wewnątrz jedynie śmieci. Kierujemy się w stronę jedynej ocalałej charakterystycznej budowli. Stojące w opuszczonym miasteczku, jak duch tego miejsca. Dawna galeria, na której szczycie wisiał kiedyś dzwon. Wieżyczka przywodząca na myśl wszystkie filmy o XIX-wiecznym Dzikim Zachodzie. Wchodzimy do środka. Nie ma już tutaj wystaw lokalnych artystów. Na ścianie ktoś namalował graffiti przedstawiające Willa Smitha ze steampunkowego westernowego filmu „Wild Wild West”. Pasuje do klimatu. A dzisiejszy klimat tego miejsca to spalone miasteczko, które najechali źli kowboje. Nie bez powodu piszę o pożarze. Największy drewniany budynek, w którym mieścił się saloon, biuro szeryfa, krawiec, itp. spłonął zaledwie dwa tygodnie przed naszym przyjazdem. W mediach nie znajduję informacji o pożarze. O jego czasie wnioskuję na podstawie zdjęć z Google osób, które odwiedziły to miejsce przed nami. Na zdjęciach z sierpnia i początku września 2023 r. budynek jeszcze stoi. W połowie września zostają jedynie zwęglone belki, nad którymi teraz stoimy. Westernowe miasteczko widmo znika na naszych oczach. Po co w ogóle w książce o turystyce pisać o takich miejscach? Po co je odwiedzamy na zaproszenie Skowronków? Zwiedzanie opuszczonych budynków stanowi odrębną, specyficzną i ekstremalną gałąź turystyki. Nazywa się z angielskiego - *Urban exploration* (często skracane do *urbex*), eksploracja miejska. Na stronie www.urbexy.pl zgłoszono 2553 opuszczone miejsca do zwiedzania w Polsce. Według podziału na województwa, w Lubuskim jest 87 takich miejsc, niewiele, w tej kategorii zajmujemy 4 miejsce od końca (na 16 regionów). Jednym z tych miejsc jest właśnie opuszczone miasteczko westernowe w Kosinie. Jako iż chcemy, aby nasza książka ukazywała turystykę z każdej, nawet najbardziej niecodziennej strony (wszak moją żonę prawie zamordowałem spaniem w lesie), stwierdziliśmy, że spróbujemy urbexu. Dlatego odpowiedzieliśmy pozytywnie na zaproszenie Skowronków. Turystyka urbexowa wiąże się z kilkoma problemami, których nie napotkamy przy klasycznym zwiedzaniu. Pierwszy został zwięźle wyrażony w tytule książki „*Urbex History. Wchodzimy tam, gdzie nie wolno*”, napisanej przez twórców szalenie

Tyle pozostało z saloonu, siedziby szeryfa, domu trapera...



popularnego kanału na You Tube: Urbex History (chłopaki mają obecnie ponad milion subskrybentów). W swojej książce opisują wędrówki po nieczynnych schronach, fabrykach, miastach widmo, kopalniach, elektrowniach atomowych. Wchodzą „tam, gdzie nie wolno”, dlatego że te miejsca często mają nieuregulowaną sytuację prawną. Stoją nieogrodzone, niestrzeżone, nie wiadomo, kto jest ich właścicielem, a jeśli jest znany, to nie interesuje się tym, co dzieje się z opuszczonymi budynkami. Urbexowe eksploracje odbywają się często na granicy prawa. Dr Zuzanna Gądzik pochyliła się w ubiegłym roku nad tym zagadnieniem w artykule „Prawnokarna ocena eksploracji miejskiej (urban exploration)”. Dr Gądzik zwraca uwagę na niepisany kodeks eksploratorów, których podstawową zasadą jest „zabierz tylko zdjęcia, zostaw tylko ślady stóp”. Oznacza to, że eksplorowane miejsce ma pozostać w takim stanie, w jakim się je zastało. Prawdziwi urban explorerzy nie dokonują więc kradzieży (a jeśli wchodzą na zamknięty teren, nawet kradzieży z włamaniem) ani zniszczenia mienia (graffiti również podchodzi pod tę kategorię, niezależnie od tego, jak piękne może się wydawać nam samym). Jeśli przestrzegamy kodeksu eksploratorów problemem prawnym, który pozostaje jest kwestia naruszenia miru domowego (art. 193 ustawy z dnia 6 czerwca 1997 r. – Kodeks karny). Choć kojarzy się nam z mieszkaniem, czy domem mieszkalnym to dotyczy również budynków użytkowych, gospodarczych, a nawet po prostu ogrodzonego terenu. Co ważne, w kontekście urbexu, aby naruszać mir domowy właściciel nie musi być obecny na miejscu, a budynki nie muszą być zamieszkałe. Wystarczy również dorozumiane wyrażenie woli przez właściciela, aby nikt nie wchodził na ten teren, czyli właśnie jego właściwe ogrodzenie, czy zamknięcie bramy. Dr Gądzik zwraca jednak uwagę na to, że „nie będzie wypełniało znamion przestępstwa naruszenia miru domowego wejście na teren obiektu, który z uwagi na swój stan techniczny nie zawiera żadnych zabezpieczeń, za pomocą których osoba uprawniona wyrażałaby swoją wolę co do przebywania w danym miejscu innych osób. Dotyczy to przede wszystkim budynków opuszczonych, z licznymi ubytkami w strukturze architektonicznej, pozwalającymi na dostanie się do środka, budowli pozbawionych drzwi i okien, ruin, budynków, które z uwagi na upływ czasu, wcześniejsze akty wandalizmu ze strony innych osób oraz brak zainteresowania nimi ze strony właścicieli, stały się ogólnodostępne”. Przystępstwo to musi mieć także charakter umyślny, czyli dokonująca go osoba musi wiedzieć, że jeśli istnieje właściciel danego miejsca, to nie wyraża on zgody na wejście (choćby przez zamknięcie miejsca i jego oznakowanie). Nie da się popełnić tego przestępstwa nieumyślnie, czyli, gdy wszystko wskazuje na to, że teren jest opuszczony, otwarty, dostępny, pozbawiony zaintereso-



wania ze strony ewentualnego właściciela. Na korzyść eksploratorów działa również niska szkodliwość czynu. Celem wejścia eksploratorów do danego miejsca jest przede wszystkim chęć jego zwiedzenia i odkrycia jego specyfiki, czy też związanej z nim historii – również w celu podzielenia się tym odkryciem z innymi osobami. Wielu eksploratorów nieużytków to fotografowie, którzy uważają rozkład opuszczonych budynków za ich zaletę i wartość estetyczną. Zdjęcia przyrody, która przejmuje takie miejsca robią kolosalne wrażenie. Można zobaczyć własnymi oczami świat postapokaliptyczny. Dotyczy to miejsc opuszczonych, a urban explorerzy niczego nie niszczą i nie zabierają. Przestrzeganie tych wszystkich zasad pozwala nam na w miarę bezpieczne zwiedzanie zapomnianych lokacji. Opuszczone miasteczko westerne w Kosinie do niedawna i podczas naszej wizyty nie sprawiało wrażenia zamkniętego. Brama była otwarta, ogrodzenie było i jest zniszczone z licznymi ubytkami pozwalającymi na bezproblemowe wejście, budynki w żaden sposób niezabezpieczone, brak oznakowań. W komentarzach Google przed naszym przyjazdem wszyscy piszą o tym, że miejsce jest otwarte, niestrzeżone, z wolnym dostępem. Ośrodek zakończył działalność w 2014 roku i od 10 lat niszczeje. Spółka, która była właścicielem ośrodka znajduje się w stanie likwidacji i nie przyznaje się do obiektu. Prof. dr Janusz Merski, biorąc udział 4 lata temu w programie „Sprawa dla reportera” mówił o tym, że spółka jest już zlikwidowana i nie mają nic wspólnego z terenem miasteczka. Dopiero 6 marca 2023 r. odbyła się licytacja komornicza terenu o powierzchni 3,45 ha, na którym znajdują się zabudowania po miasteczku widmo. Krótko po naszej wizycie pojawiły się już w komentarzach Google informacje, że brama jest zamknięta z informacją o zakazie wstępu. Być może pożar zrobił swoje. Nie odwiedzimy już tego miejsca, zresztą biorąc pod uwagę postępujące zniszczenia nie będzie po co i stanowczo odradzamy to, jako iż teren jest obecnie zamknięty, chyba że po kontakcie z prywatnym właścicielem. Piszemy o nim jako ciekawostce i przyczynku do opowiedzenia o turystyce urbexowej w Lubuskiem. Problemy prawne to jednak niejedyny, z którymi borykają się urban explorerzy. Inna sprawa to fizyczne bezpieczeństwo. Zwiedzane budynki niszczeją i ryzyko zawalenia jest spore. Krzywdę mogą również wyrządzić nam fragmenty szkła i innych rupieci, które zalegają wewnątrz pomieszczeń. Urbex nie jest dla dzieci. Na chwilę przysiadam przed zachowaną galerią z wieżą już pozbawioną dzwonu. Rozkradziono z tego miejsca już wszystko, co miało jakkolwiek wartość, pozostawiając jedynie szkielety drewnianych budynków. Najwięcej „dobra” zabrano z budynków administracyjnych. Dźwigam zmęczone kości i wzdłuż



dawnego hipodromu, po którym kowboje w kapeluszach popisywali się umiejętnościami jeździeckimi, udajemy się do niegdyś pięknego białego dworku, który dziś mógłby być obiektem zdjęciowym do wszystkich generycznych horrorów o nawiedzonych dworach. Dawniej musiało tu być cudownie. Mieścił się tu hotel, w którym turyści mogli odpocząć. Po prawej zaś znajdują się stajnie. Można było przyjechać tutaj z własnym koniem, któremu zapewniano również miejsce i fachową opiekę. Kosin należał do Lubuskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej. Znajdował się na prestiżowej liście rekomendacyjnej obiektów rekreacyjno-turystycznych, których gestorzy nie ograniczają się tylko do świadczenia dobrych usług noclegowych i gastronomicznych. Do dziś trudno mi pojąć, czemu to miejsce zbankrutowało, a byli pracownicy domagają się zapłaty zaległych wynagrodzeń w programie Elżbiety Jaworowicz. Ktoś powinien napisać studium tego miejsca, które powinno być analizowane przez wszystkich studentów organizacji turystyki. Po Dzikim Zachodzie w Lubuskiem pozostało miejsce eksplorowane w ramach urbexów. Co ciekawe, było to być może jedno z najstarszych miasteczek westernowych w Polsce. Tym bardziej szkoda, że zniknęło.

Skoro już tutaj jesteśmy, postanawiamy odwiedzić szybko jeszcze jedno miejsce, aby zachęcić was jednak do przyjazdu w te rejony. 6 km od Kosina leży Drezdenko. A w nim na podobnej, jak westernowe miasteczko, powierzchni 3,5 ha rozciąga się Park Kultur Świata, nazywany też nieoficjalnie Parkiem Miniatur. Znajdują się tutaj miniatury sławnych budowli z całego świata: wieży Eiffla, świątyni Tadž Mahal, Sfinks z Gizy, amerykańskiej Statui Wolności, świątyni Kukulkana w kompleksie Chitzen Itza oraz budynku opery w Sydney. Sporej wielkości miniatury (wieża Eiffla ma ponad 6 metrów wysokości), o różnej skali, ale zawsze z zachowanymi proporcjami (świątynia Kukulkana ma 91 stopni, tyle co oryginał), zostały wyposażone w oświetlenie i tablice informacyjne o historii tych obiektów. Co ciekawe, po naciśnięciu przycisku informacje o budowli zostaną nam odczytane (sprawdziliśmy). Rola edukacyjna tego miejsca jest więc niebagatelna. Miejsce oddano do użytku w 2012 roku i jest publicznie dostępne, bez opłat. Budowa tego miejsca pochłonęła prawie 2 lata oraz 4,5 mln zł. Po 10 latach od otwarcia widać wprawdzie ząb czasu. Nie przy każdej miniaturze działają wszystkie funkcje. Przy świątyni Tadž Mahal nie działa transkrypcja audio, podobnie jak przy Sfinksie (który nie ma też tablicy informacyjnej) i świątyni Kukulkana, gdzie wysiadło również oświetlenie. Są to jednak niuanse, bo nadal miniatury wykonane



Kiedyś było to piękne miejsce. Dziś upomina się o nie przyroda. Na zdjęciu Marta Skowronek.



Autor i Marta Skowronek u stóp drezdeneckiej Wieży Eiffla.



Tadž Mahal w Parku Miniatur w Dreźnie.

z białego wapienia przez wielkopolskiego artystę Michała Niedźwiedzia robią wrażenie. To miejsce, które zdecydowanie warto odwiedzić z dziećmi. Tym bardziej, że znajdziemy tam też plac zabaw. Obiekty można dotykać bez obaw o ich zniszczenie. Z przyzwyczajenia już sprawdzam komentarze w Google, które są bardzo pozytywne, ale zaledwie miesiąc przed naszą wizytą Pani Edyta poskarżyła się, że „Brak informacji o parku dla przejeżdżających turystów. Szkoda, bo miejsce bardzo piękne, zadbane i ciekawe”. Pasuje więc do naszego profilu miejsc niekoniecznie znanych i wypromowanych, i mamy nadzieję, że dzięki temu przyłożymy rękę do jego promocji. To jeszcze nie wszystko. Kilka kroków dalej możemy udać się na spacer urokliwą alejką, położoną nad brzegiem rzeki, którą ozdobiono wielkimi rzeźbami z drewna przedstawiającymi bajkowe postacie. Znajdziemy tam Koziołka Matołka, Rozbójnika Rumcajsa, Kubusia Puchatka, Kota w Butach, Babę Jagę, czy Filemona



Kot w Butach, który za chwilę przebijie szpadą Martę Skowronek na drezdenckim deptaku.

i Bonifacego. Co ciekawe, w sieci nie znajdziemy żadnej informacji na ten temat. Nawet jednej. Po wpisaniu kilkunastu słów kluczowych wyszukiwarka nie podsunęła mi nawet jednego artykułu o bajkowej alejce. Szukając tych bajkowych rzeźb, kierujcie się do deptaku 100-lecia RP wzdłuż Starej Noteci od ul. Mickiewicza do ul. Ogrodowej. Drezdenko ma piękne miejsca, których praktycznie nie promuje. Mariusz i Marta Skowronkowie również trafili tam przypadkiem, a teraz wspólnie z nimi kończymy naszą wycieczkę w tej bajkowej scenerii, gdy zachodzi słońce i zapalają się latarnie. Wieczorem miejsce ma cudowny klimat. Z jednej strony płynie Stara Noteć, z drugiej świecą latarnie, a na drewnianym domku siedzi Baba Jaga. Pomyśleć, że to w dużej mierze zasługa mieszkańców, bo rewitalizacja tego miejsca, które kiedyś było po prostu wydeptaną ścieżką za garażami, to pomysł, który zgłosili w ramach Budżetu Obywatelskiego. Wielkie brawa. Zresztą przyjedźcie i zobaczcie sami. A przed nami kolejne ciekawe, aczkolwiek nieznane miejsca Lubuskiego.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Do opuszczonego miasteczka westernowego z Gorzowa Wielkopolskiego dostajemy się pociągiem. Stacja kolejowa znajduje się z Starych Bielich, niewielkiej miejscowości położonej 30 minut spacerem od miasta widmo. Z Gorzowa do Starych Bielich połączeń mamy mnóstwo. Jeśli ktoś nie lubi spacerów, to ze Starych Bielich do Kosina odjeżdża autobus PKS. Do Drezdenka z Kosina mamy zaś około 6 km i na tę nieplanowaną wycieczkę zabierają nas już Skowronkowie swoim autem i z nimi wracamy do Gorzowa.

O owadzych lekarzach

Pszczelarnia w Zaborze

Autor i Czesław Słodnik podczas oprowadzania po pszczelarni. Na rękach wnuczka Czesława.



W kolejnym miejscu naszych podróży po Lubuskiem czekają nas wspaniałe smaki, dużo wiedzy, przyjemności i zdrowia. Poza tym, okładanie się po plecach mokrymi gałęziami, bieganie po szyszkach i kupowanie żelków w dawnej świątyni. Po nocowaniu w lesie, urbexach, nekro i sakroturystyce, czas na apiturystykę, czyli podróż związaną z pszczelarstwem i produktami pszczelimi w aspekcie ekologicznym, spożywczym i leczniczym. Jedziemy do największej otwartej dla turystów pszczelarni w regionie.

Z Bojadeł swoim autem zabiera nas Marta Słodnik, nasza dzisiejsza gospodyni. Leje jak z cebra, ale na szczęście zaplanowaliśmy trzydniowy pobyt, a pogoda ma się poprawić. Naszym celem jest Pszczelarnia Słodnik w Zaborze. Pierwszy problem, który musieliśmy rozwiązać w czasie naszej wycieczki, to znalezienie noclegu niedaleko pszczelarni. Problem rozwiązał się szybciej, niż myśleliśmy, bo nocować możemy na terenie samego obiektu, gdzie Słodnikowie prowadzą gościniec „Polna pszczoła”, więc bardziej komfortowo być już nie mogło. Pierwszy, deszczowy dzień spędzamy więc w niezwykle przyjemnym apartamencie pod nazwą „Alpaki to fajne chłopaki” z aneksem kuchennym i łazienką, telewizorem oraz dostępem do sieci. Dziwię się, że pokojowi nie nadano pszczelej nazwy, jak pozostałym dwóm apartamentom, ale już jutro dowiem się dlaczego. Przyjechaliśmy dość późno, więc raczymy się słoikiem miodu rzepakowego, który czeka na nas w pokoju i szykujemy się do spania. Moglibyśmy spać na osobnych łóżkach, gdyż mamy dwa różne style spania. Mój polega na chrapaniu, a żony na kuksaniu mnie łokciem. Łączymy je jednak i tulimy się do siebie. Ola przekonuje, że dawno nie spała na tak wygodnym łóżku. Ma rację. Dziś w nocy nie chrapię.

Święty Ambroży – patron pszczelarzy.



Dzień 1.

Czeka nas słoneczny dzień i rodzina Słodników niemalże w komplecie. Schodzimy na dół, gdzie oczekuje nas senior rodu – Czesław Słodnik. Wieloletni samorządowiec, który pszczelarską schedę przejął po swoim ojcu, Edwardzie. W rodzinie Słodników tradycje pszczelarские sięgają lat 20. XX wieku. Zamiłowanie do hodowli pszczoł oraz pozyskiwania miodu przechodziło tutaj z pokolenia na pokolenie. Gdy Edward Słodnik nie był już w stanie zajmować się pszczołami, jego syn przejął pasiekę i w 2015 roku na działce, którą gęsto porastały świerki, stworzył wraz z żoną Małgorzatą, córką Martą i jej partnerem Grzegorzem prawdziwe pszczelarские i turystyczne eldorado. Zresztą nie mógł inaczej, bo samo nazwisko zobowiązuje. Słodnik to gatunek średniej wielkości ptaka z rodziny, nie uwierzycie – miodojadów. Żyje sobie dziko na Nowej Gwinei i Australii, a zobaczyć go można we wrocławskim ZOO. Dzień zaczynamy od wymienionego domowego ciasta (z miodem, a jakże) przygotowanego dla nas przez przesympatyczną Małgorzatę Słodnik i nalewki na bazie miodu (miód, cytryna, woda, spirytus, nic więcej nie potrzeba). W czasie naszego pobytu spróbujemy niemalże każdego produktu wytworzonego przez pszczoły, w niełatwej do zapamiętania liczbie form i smaków. Wszystko świadczy o tym, że tu rządzą pszczoły. Po milej pogawędce z Czesławem Słodnikiem ruszamy wraz z nim i jego córką Martą (oraz jej córeczkami, żywymi srebrami) w obchód po tym magicznym miejscu. Już przed wejściem widzimy tablicę z napisem: „Obiekty otwarte. Bezpłatne i dostępne dla każdego. Zapraszamy, nie niszczyć, nie śmieć, baw się dobrze!”. Faktem jest, że Słodnikowie nie zamykają bramy, a podczas naszego pobytu widzimy rodziny, które korzystają, chociażby z placu zabaw dla dzieci. Przed bramą wita nas drewniana figura świętego



Autor wychodzi z budki do apiterapii. Zobaczcie jaki uśmiechnięty.



Pszczoły to serce tego miejsca.



Ambrożego, patrona pszczelarzy, a ogrodzenie porastają pokaźne kiście winogron. Marta stwierdza, że nie jest to najlepsze winogrono, ale żona uzna, że smakuje wybornie i trudno jej odmówić racji. Wino i miód uzupełniają się, bo miejsce to znajduje się na szlaku turystycznym Lubuski Szlak Wina i Miodu. W Zaborze znajduje się zresztą największa w Polsce winnica samorządowa, ale o tym później. Pszczelarnia jest pełna kwiatów i roślin, które mają przyciągać zapylaczy. Wszystko to sprawia, że wygląda niczym bajkowy ogród. Rośliny miododajne i pyłkodajne są opisane i oznakowane, co nadaje ogrodowi wartość edukacyjną. Wokół pełno jest zresztą kolorowych tablic, które przekazują informacje o pszczołach, ich cyklu życiowym, znaczeniu i różnych pszczelich produktach. Pszczelarnia przyjmuje też wycieczki szkolne, a Marta w barwny sposób, posługując się masą rekwizytów, opowiada o pracy pszczelarza. Przekraczając bramę, pierwszą atrakcją, która rzuca się w oczy jest tężnia solankowa. Kontakt soli z tarniną wytwarza specjalny mikroklimat, który jest zbawienny dla osób mających problemy z tarczycą. O zdrowie odwiedzających dbają też same pszczoły. Jednym z ciekawszych obiektów na terenie pszczelarni są ogólnodostępne domki do apiterapii. Wykonane z drewna pokaźne domki wyglądają uroczo, ale najlepsze czeka na nas wewnątrz. Wchodzimy do środka i słyszymy bzyczenie. Nie przeraża ono jednak, a ten dźwięk wraz z wyczuwalnymi wibracjami zdaje się koić nasze nerwy, jest przyjemny. Zasiadamy na drewnianych siedziśkach i zamykamy się w środku, a wtedy Marta informuje, że pod naszymi siedzeniami znajdują się ule z czterema pszczelimi rodzinami. Siedzimy na setkach tysięcy pszczoł! Nie musimy obawiać się tego, że użądlą, bo domek jest specjalnie zabezpieczony i od owadów oddziela nas gęsta siatka. Przez otwory pod naszymi kuprami przedostaje się tylko powietrze z ula. Same pszczoły jednak mogą wylatywać z domku na zewnątrz (nie do środka) i zbierać nektar na miód, żyjąc swoim pszczelim życiem. My zaś, przesiadując w domku cieszymy się powietrzem nasyconym produktami pszczelimi. Powietrze z ula, wypełniające domek, jest zjonizowane i nieskazitelnie czyste, wręcz antyseptyczne – bez bakterii, wirusów i grzybów. Na osobę poddawaną terapii w takim domku oddziałują też substancje lotne zawarte w powietrzu ulowym, pochodzące z propolisu, miodu, pyłku pszczelego i z wosku. W powietrzu, którym oddychamy z Olą wyodrębnić można ponad 60 takich substancji, a każda z nich ma



dobroczynne oddziaływanie na organizm. Leczymy się, oddychając! Powietrze ma również przyjemny słodki aromat. Domek wewnątrz jest niemalowany, aby żadne sztuczne substancje nie oddziaływały z czystym powietrzem z ula. Panuje w nim też wyższa niż na zewnątrz temperatura. Pszczoły są bowiem jak moja żona, głośne i dbają o to, aby było im ciepło. Utrzymują stałą temperaturę w ulach, podgrzewając przy okazji domek. Mikrowibracje wywoływane przez pszczoły i szum, który wywołują uspokaja. Trudno opisać uczucie błogości i odciążenia od zewnętrznych problemów, jakie daje zamknięcie się w takim domku z tysiącami pszczoł. Inhalacja powietrzem pszczelim pomaga na całą gamę problemów zdrowotnych. Poczynając od chorób układu oddechowego, przez dolegliwości stawowe, choroby serca, problemy skórne, nerwice, bezsenność, a to dopiero początek listy. Nie ma to nic wspólnego z czarami, czy tzw. medycyną alternatywną

(choć mówi się o tym, że wokół ula powstaje specyficzne biopole, dające ludziom uczucie spokoju i błogości). Domki do apiterapii powstały, chociażby przy Szpitalu Klinicznym im. dr J. Babińskiego w Krakowie i służą pacjentom. Z inhalacji powietrzem pszczelim można skorzystać w zaborskiej pszczelarni za darmo i jak mówi nam Marta, co jakiś czas przyjeżdża do nich na przykład matka z synem, który boryka się z problemami skórnymi. Korzystają z sesji w domkach, a owadzi lekarzom nie kończą się kontrakty z NFZ i nie mają terminów na za dwa lata. Marta nadmienia, że zaleca się co najmniej 10 takich sesji inhalacji po 30 minut, aby w pełni odczuć walory zdrowotne. Przed domkiem do apiterapii stoi wielki drewniany niedźwiedź. W środku jest pusty. Nie z powodu wypalenia zawodowego, czy depresji wywołanej ciężarem niedźwiedziego żywota, bo pani niedźwiedzica znowu go kuksała za chrapanie podczas snu zimowego, ale dlatego, że sam jest domkiem dla pszczoł. To barć, czyli wydrążone w środku drzewo. Bartnictwo wyparte zostało przez pszczelarstwo ulowe, ale takie piękne ozdobne barcie spotkać można tu i ówdzie, m.in. u Słodników. Czesław pokazuje nam drzwiczki na plecach niedźwiedzia, prowadzące do komory, którą mogłyby zająć zapylacze. Mogłyby, gdyż w tym momencie barć jest niezasiedlona. Gospodarz tłumaczy, że chodzi o względy bezpieczeństwa. Niedźwiedź znajduje się zbyt blisko wiat z ławeczkami, czyli głównego miejsca, w którym przesiadywać mogą goście na świeżym powietrzu. Bezpieczeństwo zaś jest najważniejsze. Przy wiatkach wisi tabliczka z groźnie wyglądającą pszczołą, członkinią jakiegoś ulowego gangu, napakowaną dźwiganiem nektaru po osiedlu pełnym nakokszowanych pszczoł i napisem „Uwaga pszczoły! Groźba pożądlenia!”. Musimy pamiętać, że pszczoły latają sobie tutaj na wolności i nie da się ich skarcić jak szczekającego pitbulla. Gospodarze kwestie bezpieczeństwa traktują bardzo poważnie. Wyposażeni są w adrenalinę i leki przeciwhistaminowe w razie ukąszenia. Często wymieniają również królowe w swoich ulach, co sprawia, że pszczoły stają się spokojniejsze. Taka „wymiana krwi” jest konieczna, gdyż, jeśli królowa jest cały czas z tego samego roju, to wzmaga to ich agresję. Królowa żyć może do 5 lat, ale Słodnikowie wymieniają ją po 2 latach, co pozwala na zachowanie jej pro-

duktywności (królowa jest produktywna, gdy składa co najmniej 3 tysiące jaj na dobę) i uspokaja pszczoły. Wszystko dla bezpieczeństwa gości. Jak mówią, od otwarcia pszczelarni zdarzyło się zaledwie kilka niegroźnych pożądeń, a byliśmy świadkami, że potrafią przyjąć naraz nawet kilkudziesięcioosobową grupę dzieciaków. Sami za to są kęśani co jakiś czas, to nabywając odporność na jad, to znów ją tracąc. Uroki pszczelarstwa życia. Te uroki poznajemy dalej dzięki Marcie. Pokazuje nam różnego rodzaju ule i przyrządy, które służą pracy z pszczołami. Wielokrotnie podczas prezentacji siada na nas pszczoła. Przynajmniej według mnie. Według Marty, a można jej ufać, to nie pszczoła tylko osa. Poznajemy więc i takie podstawy, jak różnica między tymi owadami. Pszczoły, kochane owady społeczne produkujące miodek i czasem, ot przypadkowo, dziabiące nas, gdy go podbieramy, są włochate, mają haczykowate żądła i nie są tak intensywnie żółte jak osy,

ale raczej prezentują ciemne barwy. Za to osy, ci patologiczni mieszkańcy owadnich osiedli, wściekle pitbulle ze skrzydłami, które bzyczą do nas z daleka - „no co, chcesz się bić?!”, są intensywnie żółte, nieowłosione, z prostymi żądłem i choćby je przekupić nektarem, nie dadzą nam miódka. Może dlatego, że są głównie mięsożerne, a może dlatego, że mają taką psychopatyczną naturę. Z niechęci do os wyprowadza mnie Czesław, przekonując o ich również pozytywnej naturze. Zresztą nie tylko ich. Przechodzimy do pokaznej wystawy budek dla zapylaczy. Drewniane budki są dla każdego. Nie tylko dla owadów. Kwiaty i krzewy zapylają również ssaki i ptaki. Czesław pokazuje nam budki dla trzmieli, biedronek i murarek (największych zapylaczy w Polsce). Dla ptaków, nietoperzy (te rozpoznałem po wizycie w Sulechowie, więc nauka nie idzie w las), wiewiórek, czy małych gryzoni, koszatniczek. Ich liczba i różnorodność zadziwia. Przy wystawie domków dla zapylaczy znajduje się też ścieżka sensoryczna z przegrodami wypełnionymi różnymi typami podłoża. Wszystko otwarte i dostępne. Przy tablicach informacyjnych Marta pokazuje nam jeszcze bogactwo rodzajów zbóż, tłumaczy, dlaczego truteń nie ma ojca a ma dziadka, pokazuje osyp z padłych pszczół, przekonując, że nalewka z osypu czyni cuda dla męskiej prostaty i że 20-kilka procent zawartości nektaru z określonego rodzaju rośliny wystarczy, aby miód został zaklasyfikowany jako lipowy. Masa informacji od ludzi, którzy wiedzą, co robią. Artykuły pisane przez Słodników przeczytać można w branżowych czasopiśmie, które przeglądamy z Czesławem. Czas na same pszczoły. Pszczelarnia Słodnik jest pasieką wędrowną. Większość uli znajduje się na lawetach, które można przewieźć w dowolne miejsce, aby uzyskać określony rodzaj miodu. Na lawetach znajduje się ponad 60 uli. Ogólnie Słodnikowie mają ich około 80. Produkują miód, propolis (kit pszczeli, wytwarzany z żywicy roślin a wykorzystywany przez pszczoły do wyściełania wnętrza ula), wosk pszczeli (z gruczołów woskowych pszczół, z niego buduje się heksagonalne plastry w ulu), pierzę (podstawowy pokarm pszczół, powstający ze zmieszania pyłku ze śliną pszczół i miodem), pyłek (drobniutkie ziarna powstające w pylnikach roślin, ich męskie komórki rozrodcze), nektar (słodka wydzielina roślin, które zwabiają nią zapylacze). Wszystkie te produkty możemy spróbować i kupić na miejscu w Pszczelarni Słodnik, z czego nie omieszkamy skorzystać. Po drodze Marta z Czesławem pokazują nam jeszcze szereg innych uli (sami



Ścieżka sensoryczna.

Wystawa budek dla zapylaczy i karmników.



wykorzystują, tzw. ule wielkopolskie), m.in. pomalowany na zielono ul, w którym doprowadza się do zapłodnienia królowej. Czesław zwraca naszą uwagę na to, ile jeszcze można zrobić na tym terenie. Wskazuje ręką na niewielki stawik, który jednak nie trzyma wody i trzeba by go uszczelnić, aby cieszył oczy. Na razie cieszy żaby, które w maju dołączają swoim głośnym rechotem do bzyczenia pszczół. Wracając do naszego pokoju zahaczamy o ważny punkt wycieczki. Wpadamy, mianowicie w odwiedziny do Marleya, Ząbka i Marshalla. To alpaki, które zamieszkują na terenie pszczelarni i z miejsca skradły serce mojej żonie (kolejne dni zaczynała od sprawdzenia, co słychać w ich zagrodzie). Zwierzaki są szalenie fotogeniczne, przyzwyczajone do zwiedzających. Głaszczemy je, karmimy i robimy sobie fotki. Chętni mogą wziąć udział w oprowadzaniu alpaka. Futrzaki są grzeczne, choć amatorom znane głównie ze zdolności do plucia. Marta pokazuje nam jak popluły swoją zagrodę. Plucie jest ich naturalnym mechanizmem obronnym, służącym też ustalaniu hierarchii w stadzie. Raczej nie plują na ludzi, ale Marley, Ząbek i Marshall muszą czasem popluć się między sobą, co by ustalić, kto tu rządzi. Wtedy nie wchodźcie im na linię strzału. Trzeciego dnia naszego pobytu futrzaki dały nam niezły pokaz plucia. Gdy Ola uciekła, ja patrzyłem zafascynowany. Któż potrafi tak pięknie pluć na odległość.

Dzień 2.

Słodników odwiedza rodzina z Gryfowa Śląskiego. W sensie, nie ich rodzina, tylko rodzina po prostu – rodzice i dorosła córka. Przyjechali na zorganizowane zwiedzanie, aby od najlepszych uczyć się, jak prowadzi się pszczelarnie, gdyż taki mają pomysł na emeryturę. Słodnikowie przyjmują sporo takich grup, dzieląc się z nimi tajemnicami pracy pszczelarza. Po sprawdzeniu, jak pozapluwali się dziś Marley, Ząbek i Marshall, podłączamy się do biznesowej wycieczki. Gdy Ola robi zdjęcia dzieciom bawiącym się na placu zabaw (a, nie wspomniałem! Na terenie pszczelarni jest też otwarty plac zabaw dla dzieci ze zjeżdżalnią, huśtawkami, zabawkową kuchnią, piaskownicą, dwoma miniaturowymi królikami i rosnącymi za ogrodzeniem Budlejami Davida, nazywanymi też motylim krzewem, dlatego przy bawiących się dzieciach zobaczyć możemy mnóstwo kolorowych motyli), Marta częstuje mnie i gości ze Śląska różnymi rodzajami miodu. Naszym zadaniem jest rozróżnić miód akacjowy, od rzepakowego, lipowego i całej gamy innych miodów. Muszę tutaj



Marley, Ząbek, albo Marshall. W pszczelarni spotkacie też alpaki.

zaznaczyć, że obawiałem się, iż kilka dni konsumpcji miodu odstręczy mnie od słodkości. Nic z tych rzeczy! Tutaj przekonałem się jak różnorodny może być miód, jeśli chodzi o smak, czy konsystencję i okazało się, że nie każdy miód jest szalenie słodki. Nasze zwycięstwo w zabawie „zgadnij, co to za miód” (no dobra, nie moje) świętujemy rzecz jasna nalewką na miodzie. Gdy przyjemnie szumi w głowie (Słodnikowie nie chrzczą swoich nalewek i nigdy też nie pozwoliliby na zastąpienie spirytusu, taką pozał się boże, wódką) ruszamy przyjrzeć się pracy pszczelarza. Po omówieniu najlepszych uli i ich elementów udajemy się do pracowni. Tam Marta pokazuje nam maszyny do odwirowywania miodu (ręczne i elektryczne) i beczki z gotowym produktem. Dowiadujemy się, jakie są ceny królowych, w jaki sposób są transportowane (ot, jak typowa przesyłka kurierska, kto by pomyślał) i przyglądamy się pojemnikowi, w którym przeżyć musi królowa, zanim do nas dotrze. Po prezentacji przygotowujemy się z Olą do zabawy. Trafiliśmy wszak do Zaboru w idealnym momencie. Zaznaczyć trzeba bowiem, że Zabór to mała, ale przepiękna i przyjemna dla odpoczynku miejscowość, w której ciągle coś się dzieje. My nieświadomie przyjechaliśmy zaś na winobranie. W Zaborze znajduje się, mianowicie największa winnica samorządowa w Polsce. Na 33 hektarach rosną winorośle i dziś można zbierać winogrona i poznać tajniki przerabiania owoców na wino. Bierzemy więc udział w festynie, wysłuchamy koncertu i gdy nastanie wieczór (a miejscowi nadal hucznie się bawią) ruszamy zrobić spożywcze zakupy. W Zaborze jednak i zakupy mogą być niezwykle, więc czeka nas niespodzianka. Powoli, tuptając niczym jeże, bo wieczór jest piękny, a spacer przyjemny, zmierzamy z Olą do centrum. Po kilku minutach spaceru w oczu rzuca mi się fascynujący z wyglądu, długi budynek zdobiony na szczycie wymyślną kopułą, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem. Przekonany, że musi to być jakiś zabytek, ciągnę tam żonę, która wołałaby jednak zrobić te zakupy. Na miejscu okazało się, że oboje będziemy zadowoleni. Wysokie okna budowli zaklejone są reklamami znanej sieci spożywczej. Wchodzimy do środka, bierzemy koszyk i widzimy, iż wewnątrz, mimo wymyślnego wyglądu budynku, ni-

czym nie różni się od typowego marketu, no może przejścia są wyjątkowo ciasne, nie zmieszczą więcej niż jednej osoby, bo sklep jest długi, ale wąski. Podchodzę i pytam młodych sprzedawców płci obojga, do czego służyło to miejsce, zanim powstał tu sklep, tej jakże znanej marki. Chłopak, na oko dwudziestoletni, widać przyzwyczajony do tego pytania, informuje mnie, że był tutaj kościół. Moje zdumienie rośnie i upewniam się, że dobrze usłyszałem (dobrze) i pytam, jakiego wyznania był to kościół (młoda, na oko osiemnastoletnia sprzedawczyni informuje, że protestancki). Kilka minut w Internecie potwierdza, że rzeczywiście miejscowy kościół zamieniono na sklep spożywczy. Budowla była kościołem protestanckim, ewangelickim, i została zbudowana w latach 30. XX wieku, na miejscu wcześniejszej, zniszczonej przez pożar. Po wojnie rozszabrowana (wywieziono dzwon, ukradziono posadzkę), nigdy nie pełniła już funkcji sakralnej. Z racji tego, że Zabór jest niewielką wsią liczącą około tysiąca mieszkańców, na dodatek już po wojnie jednolitą religijnie, nie potrzebował dwóch kościołów (zaledwie kilka kroków dalej znajduje się katolicki Kościół św. Józefa). Biskup diecezji katolickiej, która przejęła świątynię, wydał decyzję o desakralizacji budynku. Z kopuły na dachu zdjęto krzyż, a dawny kościół kupiła sieć sklepów spożywczych. Dziś w miejscu, gdzie dawniej odprawiano nabożeństwa, w długich kościelnych nawach, kupujemy z Olą żelki słodko-kwaśne i paczkę chipsów solonych. Lokalne media piszą o tym, że miejscowi pochwalają decyzję. Budynek zamiast stać pusty, gdy wyprowadził się z niego Bóg, służy mieszkańcom. Niewiele jest w Polsce podobnych przykładów, choć trend zamieniania kościołów na sklepy, dyskoteki, czy miejsca kultury cieszy się popularnością w coraz bardziej świeckiej Europie. Jestem zafascynowany egzotycznym wyglądem i fascynującą historią tego miejsca, chociaż żal mi trochę wysokich witrażowych okien przesłoniętych reklamami mięs, pieczywa i warzyw.

Dzień 3

W Zaborze zawsze coś. Tym razem wspólnie z Martą ruszamy do Centrum Leczenia Dzieci i Młodzieży, gdzie udziela się pomocy psychiatrycznej dzieciakom z całego regionu. Nie chodzi o to, że wpłynęło na nas jakoś źle przyglądanie się temu, jak Marley, Ząbek i Marshall zapluwają się trzeci dzień, zresztą trochę z tym przesadzam w ramach literackiej hiperboli, a co więcej, te urocze futrzaki mogłyby co najwyżej pozytywnie



Autor z alpaką, w tle Zamek w Zaborze.

nie wpłynąć na nasz stan ducha. Chodzi o to, że po pierwsze jest to przepiękne miejsce, a po drugie odbywa się tam dziś wystawa „Zaginiony księgozbiór cesarzowej Herminy von Reuss”. „Wystawa w szpitalu?” – dziwicie się zapewne. To kolejna niespodzianka Zaboru. Otóż we wnętrzu szpitala znajduje się przepiękna Sala Kryształowa z cudownym sufitem, w całości pokrytym bogatą sztukaterią i z kryształowymi żyrandolami, odrestaurowana z budżetu województwa za kwotę 670 tys. zł. Na jej otwarciu gościem był sam Książę Pruski Franz Friedrich z rodu Hohenzollernów – prawnuk ostatniego cesarza Niemiec i króla Prus Wilhelma II Hohenzollerna. W ten sposób obiekt ten musi godzić ze sobą dwie funkcje: zamkniętej placówki psychiatrycznej, w której do zdrowia dochodzą młodzi ludzie i odnowionego za ponad pół miliona reprezentacyjnego miejsca wydarzeń kulturalnych, gdzie goście wpadają z całego regionu, aby na przykład brać udział w wystawach, jak my dzisiaj. Nie budzi to zachwyty pracowników szpitala, dla

Kiedyś świątynia, dzisiaj sklep znanej marki.



których zdrowie pacjentów przede wszystkim, a dla nas stanowi kolejny przykład miejscowego fascynującego kolorytu (nie zapomnieliście jeszcze o kościele przerobionym na sklep spożywczy?). Z jednej strony zza zamkniętych drzwi krzyczą młodzi pacjenci. Z drugiej, w sali pełnej kryształów słuchamy opowieści o cesarzowej Herminie von Reuss. Pomiędzy literami wystukiwanymi teraz przeze mnie na klawiaturze nie szukajcie zgryźliwości, czy krytyki. Nie znajdziecie jej. Naprawdę piszę o tym wyłącznie jako niezwykłym i ciekawym doświadczeniu i ku waszej wiedzy, gdybyście chcieli się tam kiedyś wybrać. Wszak już na dziedzińcu zamkowym (dawniej był to zamek) wisi masa tablic informujących o tym, że leczą się tu dzieci, znajduje się Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii i aby nie robić zdjęć, co mogłoby odstraszyć ewentualnych podróżników, a wejść warto. Sama budowla jest przepiękna. Barokowy zamek w stylu pałacowym pochodzi z 1677 roku. Wspomniana tu Hermina była jego ostatnią właścicielką. Zachwyca jego architektura, piękna wieża, magiczny most, choć nie płynie tam dziś rzeczka, piękny taras. Nad wejściem w centralnym miejscu wielki herb rodziny Schönaich-Carolath. Park pałacowy jest zadbany i posiada fontannę, ale od czasów epidemii COVID pozbawioną wody. Warto przejść się na tyły zamku gdzie znajduje się zadrzewiony park. Dzisiaj jeszcze dziki, ale na jego rewitalizację mają zostać przeznaczone ogromne środki z województwa. Idąc leśną ścieżką za zamkiem możecie dotrzeć do Jeziora Liwno, co też czynimy z Olą. Nie jest to długi, a bardzo przyjemny spacer w pięknych okolicznościach przyrody. Po tym spacerze wracamy do pszczelarni i chwilę odpoczywamy przed atrakcją wieczoru. Na wieczór umówiliśmy się z Grzegorzem, partnerem Marty. Grzegorz jest wykwalifikowanym saunamiistrzem i wieczorem wyciśnie z nas siódme poty, dając nam przeżycie, którego nie zapomnimy. Na terenie pszczelarni znajduje się też, bowiem fińska sauna i jacuzzi. Atrakcji jak widzicie nie brakuje. Gdy zapada zmrok spotykamy się z Grzegorzem pod sauną. Przebieramy się i wchodzimy do wnętrza drewnianej sauny. Jest przestronnie. Zamykamy się szczelnie i zaczynamy. Saunowanie z Grzegorzem to rytuał. Powoli podnosi temperaturę, lejąc wodę na rozgrzane kamienie i wachlując wielkim wachlarzem. Rozmawiamy o kulturze saunowania, o przyjem-

nościach i o wartościach zdrowotnych płynących z tego rodzaju zabiegów. Używa rozmaitych olejków aromaterapeutycznych, a my staramy się zgadnąć zapach. Aby wzmocnić wrażenia cytrusowych zapachów zjadamy kawałki pomarańczy. Jest cudownie. Grzegorz przekazuje nam wachlarz, abyśmy mogli przekonać się jak wzrasta temperatura powietrza podczas wachlowania. To niesamowite jak możemy po prostu płynnymi powolnymi ruchami zamienić to miejsce w rozgrzany piec. Do tego dochodzi muzyka specjalnie dobrana przez Grzegorza i delikatne kolorowe światło, aby stworzyć unikalny klimat. Gdy już odpowiednio się spocimy, wychodzimy na zewnątrz. Jesteśmy w samych ręcznikach, jest późny wieczór, słońce dawno zaszło, a my nie czujemy chłodu. Tak działa sauna. Siadamy na chwilę na leżakach, wypijamy wodę z sokiem i patrzymy w gwiazdy. Moglibyśmy spędzić tak wieczność. Grzegorz zaprasza nas na kolejną rundkę saunowania. Jak mówiłem, to rytuał. Powolny, nieśpieszny i trwający tyle, ile to konieczne. Wchodzimy do środka. Szczelnie zamykamy drzwi. Grzegorz polewa kamienie, czujemy niezwykle zapach, wachluje i wzrasta temperatura. „Teraz przejdziemy do tortur” – informuje nas i pokazuje nam odpowiednie narzędzia. Ja kładę się na brzuchu, a Ola, wykorzystując wałki i rolery masuje mnie i ugniata. Odwdzięczam się tym samym. Czas płynie, przyzwyczajamy się powoli do temperatury. Przerywamy i wychodzimy na zewnątrz, a tam leżaki, sok, gwiazdy. Grzegorz zaprasza na trzecią rundkę saunowania. Jest przyjemnie, a nasz gospodarz jest świetnym gawędziarzem. O saunach zdaje się wiedzieć wszystko. Po chwili prażenia zaprasza mnie na zewnątrz, ale tylko mnie. Wychodzimy, zostawiając Ołę we wnętrzu sauny. Zastanawiam się nad tym, co się wydarzy. Prosi, abym odwrócił się plecami i zamknął oczy. Po chwili czuję jak uderza we mnie lodowata woda. O dziwo uczucie nie jest przykre, wprost przeciwnie. Kontrast pomiędzy moim rozgrzanym ciałem, a wodą jest ekscytująco przyjemny i nieziemsko pobudza. Otwieram oczy i widzę, że Grzegorz przysłał mnie wodą z gałązek, które stały w naczyniu obok. Zachęca mnie do wybiczowania się drzewnymi witkami, a ja robię to bez chwili wahania. Po trzech rundkach saunowania wskoczyłbym do studni, gdyby mnie namawiał. Budzi zaufanie, bo widać, że wie, o czym mówi. Za chwilę zimną wodą zostanie potraktowana Ola. Wracamy do środka, saunowanie trwa. Za jakiś czas robimy kolejną przerwę. Do Grzegorza dzwoni Marta, zastanawiając się, czy nie porwał nas Marley, wspólnie z Ząbkim i Marshalllem. Przerywamy zabawy, aczkolwiek moglibyśmy spędzić tam życie. Dlatego też niechętnie, ale nazajutrz opuszczamy Pszczelarnię Słodnik. Grzegorz odwozi nas aż do Sulechowa. Nasi gospodarze zrobili na nas wrażenie nie mniejsze niż to miejsce. Obiecujemy sobie i im, że jeszcze wrócimy. Wrócimy.

Jak dotarliśmy na miejsce?

Niestety brak połączeń Gorzowa Wielkopolskiego z Zaborem komunikacją publiczną. Jesteśmy jednak zaradni a miejscowi pomocni. Najpierw przyjechaliśmy, więc do Bojadół z Gorzowa Wielkopolskiego autobusem z godzinną przesiadką w Sulechowie. Z Bojadół do Zaboru jest 8 km, niecałe 10 minut jazdy autem, więc zapytaliśmy naszych gospodarzy z pszczelarni, czy nie podrzuciliby nas do siebie, a oni bezproblemowo wyrazili zgodę. Jako iż połączyliśmy wycieczkę do Sulechowa, Bojadół i Zaboru, nie byłibyśmy w stanie zrobić tego jednego dnia, dlatego zakwaterowaliśmy się na terenie pszczelarni, co wszystkim gorąco polecamy. Powrót był dokładną odwrotnością naszego przyjazdu, z pomocą Państwa Słodnik. Dla chcącego nic trudnego

Odpowiedź do rozdziału 3: Chronogram wskazuje na rok 1684 (czyli rok, w którym doszło do wielkiego pożaru niszczącego prawie całe Żary) – (DDD = 1500, C = 100, L = 50, VVVVV = 25, IIIIIIII = 9, razem: 1684.

Odpowiedź do rozdziału 7: Byliśmy przy sulechowskim zegarze o 14:45.

Tekst

Mariusz Sobkowiak
sobkowiak.md@gmail.com

Zdjęcia i skład

Aleksandra Sobkowiak

Korekta

Kamil Nowacki

Konsultacje

Rafał Marcinkiewicz, Hubert Fidali, Anna Polak, Ewa Sawicka, Adrian Bujak, Marta Plawgo-Biernat, Krzysztof Gola, Tomasz Rybarczyk, Marzena Arendt-Wilczyńska, Maciej Błoński, Marta Skowronek, Mariusz Skowronek, Marta Słodnik, Czesław Słodnik, Grzegorz Słodnik, Małgorzata Słodnik

Pierwsi czytelnicy

Kamil Kwiatkowski, Piotr Jakubowski, Adrian Bujak

ISBN: 978-83-969307-0-5

Wydawca

Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych „RAZEM”
ul. Gwiazdzista 12/88
66-400 Gorzów Wielkopolski
www.stowarzyszenierazem.wordpress.com

Druk

Sowa Sp. z o.o.
ul. Raszyńska 13
05-500 Piaseczno
www.sowadruk.pl

Gorzów Wielkopolski 2023

Projekt współfinansowany ze środków województwa lubuskiego

Tajna fabryka Hitlera, westernowe miasteczko widmo, największy kosmiczny zegar w Polsce, noclegi w środku lasu, tajemnicze podziemne tunele pod kościołem, zagadka tańczących drzew, czy lecznicze siadanie na ulach i świątynie zamienione w sklepy spożywcze... Mariusz Sobkowiak, wspólnie z żoną Aleksandrą, odwiedził dziesięć fascynujących miejsc w województwie lubuskim i opisał swoje podróże. Te niewypromowane miejsca zgłosili sami mieszkańcy, z którymi autor spotkał się i wysłuchał ich opowieści. To nie jest zwykły przewodnik, to bogato ilustrowana książka podróżnicza po regionie, pełna zabawnych, a czasami przerażających, ale zawsze pouczających historii.



Mariusz Sobkowiak (ur. 1989) – redaktor naczelny magazynów fantastycznych „LandsbergON”, „Imaginarium Opolskie” i „Imaginarium Wielkopolskie” oraz czasopisma regionalnego „Młody Lubuszanin”. Laureat konkursów literackich, autor książki „Opowieści z czasów zarazy”, za którą otrzymał nominację do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Prezes Stowarzyszenia NOVUM, zakochany w Lubuskim i jego historii. Mąż Aleksandry.

Aleksandra Sobkowiak (ur. 1993) – graficzka, od lat tworząca materiały graficzne dla Stowarzyszenia NOVUM, Stowarzyszenia Mediów Obywatelskich i innych organizacji. Odpowiedzialna za skład czasopism – „LandsbergONu”, „Młodego Lubuszanina”, „Imaginarium Opolskiego”. Prezeska Stowarzyszenia „RAZEM”, tworząca gry karciane i planszowe, grafiki komputerowe i odręczne rysunki (jak okładka niniejszej książki). Żona Mariusza.

ISBN: 978-83-969307-0-5



Lubuskie
Warte zachodu

